Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WARSZAWA - MAJ - NR. 6

miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena egz. 50 gr.

2

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i Wydawca — KONSTANTY BOBOWSKI.

Redakcja i Administracja—Królewska 16. Tel. 2.18.14. Konto P.K.O. 1266

Administracja czynna codziennie od godz. 10—4 pp.

Redaktor przyjmuje we czwartki od godz. 5—7 pp.

Prenumerata roczna — 4 zł. Prenumerata półroczna — 2 zł

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa", Warszawa, Moniuszki 11.

ŚMIERĆ MARSZAŁKA
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Wieczorem 12 maja o godz. 8-ej min. 45 Marszałek Józef Piłsudski zmarł w Warszawie, w Belwederze. Dnia 18 maja nastąpiło uroczyste złożenie Zwłok w podziemiach Wawelu.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej wydał do Narodu następujące orędzie:

Do Obywateli Rzeczypospolitej!

Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył.

Wielkim trudem Swego życia budował siłę w Narodzie, genjuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom Jego pracy danem Mu było oglądać Państwo nasze, jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a Armję naszą—sławą zwycięskich sztandarów okrytą.

Ten największy na przestrzeni całej naszej historji Człowiek z głębi dziejów minionych moc Swego Ducha czerpał, a nadludzkiem wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał.

Nie Siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności skolei miałby spocząć.

Przekazał Narodowi dziedzictwo myśli, o honor i potęgę Państwa dbałej.

Ten Jego Testament, nam żyjącym przekazany, przyjąć i udźwignąć mamy.

Niech żałoba i ból pogłębiają w nas zrozumienie naszej — całego Narodu—odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłemi pokoleniami.

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

(—) I. MOŚCICKI

Warszawa—Zamek, dnia 12 maja 1935 r.

Dr. A. PRÓCHNIK

ZAGADNIENIE WŁADZY

Zagadnienie władzy pojawia się z chwilą, gdy na porządku dziennym postawioną została sprawa realizacji naszych założeń ideowych. Aby coś zrobić, coś przeprowadzić, trzeba mieć możliwość i prawo zrobienia tego, czyli władzę. Kwestja jest tylko, czy trzeba ją posiadać koniecznie bezpośrednio. Czy nie można rozdzielić inicjatywy od egzekutywy? Teoretycznie bowiem istnieją dwie drogi do urzeczywistnienia dążeń. Jedna z nich to skłonienie do tego tych, którzy mają w swem ręku władzę i prawo decyzji, przez namowę, przez perswazję lub przez nacisk naszego ruchu masowego. Druga to opanowanie samemu władzy i użycie jej w sposób zdecydowany i planowy jako środka do przekształcenia form życia. Krótko mówiąc są dwie możliwości: zdobywanie ustępstw na rządzących lub zdobycie władzy.

Przy małych, drobnych zadaniach wielki wysiłek zdobycia całokształtu władzy politycznej jest istotnie zbędny. Przewrót socjalistyczny sięga jednak zbyt głęboko, wymaga zbyt radykalnego przekształcenia stosunków, aby mógł zostać dokonany na drodze małych wymuszeń. Wymaga on czynnika o zdecydowanej woli do realizacji.

Tam gdzie w grę wchodzą zmiany ustrojowe sięgające wgląb naszego życia, podważające podstawy naszego współczesnego bytu, nie może być nawet mowy o tem, aby realizatorami nowych form życia, twórcami nowego porządku mogli być inni ludzie, jak tylko ci, którzy dążeniu do tych zmian poświęcili całe życie, którzy reprezentują interesy i potrzeby warstwy społecznej, która w tym przewrocie widzi swoje wyzwolenie i swoją przyszłość. Niepodobna bowiem dokonać wielkiego dzieła przekształcenia życia, jeżeli się w to dzieło nie wierzy, jeżeli się działa bez głębokiego przekonania w słuszność tego co ma zostać zrealizowane. Przewrót może być tylko dziełem konsekwentnego dążenia i głębokiej wiary. Ale nietylko dlatego konieczne jest, aby ci co dążą do tego przewrotu sami chwycili władzę w swe ręce i sami, budowali nowy porządek. Wchodzi tu w pierwszym rzędzie w grę sprzeczność interesów. Przewrót, do któ-

rego dążymy godzi w najżywotniejsze interesy tych którzy mają dziś rządy w swym ręku. Nie dopuścić do przewrotu jest najistotniejszą kwestją ich bytu.

Historja zna jednak niewątpliwie wypadki, kiedy ludzie, stojący u steru rządów byli zmuszeni do własnoręcznego realizowania żądań wysuwanych przez ruchy społeczne, kiedy reformy społeczne zostały dokonane bez zdobycia władzy przez warstwy społeczne, w których interesie one leżały. Najjaskrawszym tego przykładem jest reforma włościańska, obalenie pańszczyzny i poddaństwa i uwłaszczenie. Przecież wielkie te reformy społeczne zostały dokonane bez zdobycia władzy przez chłopów. Jako dalszy przykład posłużyć mogą reformy społeczne osiągnięte przez klasę robotniczą w okresie t. zw. reformizmu. Wszakże i one zostały wprowadzone w życie bez wywalczenia sobie władzy przez klasę robotniczą, zostały urzeczywistnione niewątpliwie pod naciskiem potężnego ruchu klasy robotniczej, ale przez rządy reprezentujące sprzeczne z klasą robotniczą interesy.

Przeprowadźmy analizę tych przykładów. Reforma włościańska. Nie przeprowadził jej istotnie rząd chłopski. Nie była ona jednak również dziełem szlachty, w której interesy godziła. Reforma ta została przeprowadzona przez inną warstwę społeczną, która w tym czasie objęła władzę, przez burżuazję, w której interesie ona leżała. Burżuazja bowiem była niemniej niż chłopi w imię swych własnych dążeń, zainteresowana w obaleniu feudalnego porządku społecznego i w zniweczeniu przywilejów szlacheckich. Reformę włościańską przeprowadziła ona z punktu widzenia swych własnych potrzeb, a korzyść chłopów była tylko ubocznym produktem tego procesu. Zresztą korzyść ta nie była tak wielką. Reformę włościańską przeprowadzono bowiem tylko w tej mierze, o ile było to burżuazji potrzebne. Chodziło tylko o to, aby zapewnić formującemu się kapitalizmowi ręce do pracy i konsumenta. Przeprowadzono jednak tę reformę pilnie wystrzegając się naruszenia praw własności, gdyż podważenie ich byłoby niebezpiecznym precedensem dla samej burżuazji. I dlatego też reforma ta została połączona z nałożeniem na chłopów wielkich ciężarów. Przeprowadzono dalej tę reformę tylko w sposób cząstkowy, zostawiając olbrzymie obszary ziemskie w ręku potomków dawnych

panów feudalnych, uniemożliwiając w ten sposób istotne zaspokojenie głodu ziemi i rozwinięcie się znacznej większości warstwy chłopskiej w zdrową i silną ekonomicznie warstwę społeczną. I to leżało w interesie burżuazji, która pragnęła wszak ze wsi wyciągnąć tanią siłę roboczą. Widzimy zatem, że reforma chłopska przeprowadzona bez czynnego udziału chłopów i bez stworzenia rządów warstw pracujących, okazała się tylko reformą połowiczną, dostosowaną faktycznie do potrzeb warstw rządzących, reformą, która nie rozstrzygnęła istoty zagadnienia. I dlatego bardzo szybko po tej reformie pojawiło się to zagadnienie znowu na powierzchni życia politycznego, jako zagadnienie t. zw. reformy rolnej. Jest jasne, że całkowite rozwiązanie tego zagadnienia idące po linji faktycznych interesów mas chłopskich, nie może inaczej nastąpić, jak tylko drogą zdobycia władzy przez owe zainteresowane masy.

A robotnicze reformy społeczne? Niektóre z nich osiągnęła klasa robotnicza istotnie bez zdobycia władzy. Ale jakież to były reformy? Istotą ich było, że nie podważały one panującego ustroju, że dawały się z nim pogodzić. Zostały one przeprowadzone pod wpływem ruchu robotniczego przez rządy klas posiadających, ale zarówno klasa robotnicza, jak i klasa posiadająca, pokładały pod te dzieło reformy inne znaczenie. O ile klasa robotnicza chciała widzieć w owych reformach ewolucyjną drogą do zasadniczego przewrotu, zapowiedź nowego porządku, o tyle naodwrót klasa posiadająca uważała je właśnie za doskonały sposób zapobieżenia temu przewrotowi, za środek służący do utrwalenia i wzmocnienia panujących form społecznych przez ochronienie ich od niebezpieczeństwa rewolucyjnego działania zbytniego niezadowolenia mas. I w tym wypadku jest zatem jasne, że reforma zasadnicza sięgająca wgłąb dzisiejszych stosunków społecznych, niwecząca podstawowe zasady, na których dzisiejszy ustrój się opiera, nie może zostać dokonana inaczej jak tylko drogą zdobycia władzy przez samą klasę robotniczą.

Rzeczy te są przecież zupełnie jasne i zdawałoby się że same przez się zrozumiałe, a jednak nie brak objawów zamącenia pod tym względem naszej świadomości. Złudzenia takie leżą u samego wstępu ruchu socjalistycznego. Były to

w pierwszym rzędzie złudzenia t. zw. utopizmu. Jedną z podstaw utopizmu była bowiem wiara niektórych utopijnych socjalistów, że zmianę ustroju można będzie przeprowadzić drogą perswazji, już to przez przekonanie o konieczności i słuszności tej zmiany kapitalistów, już to przez wpłynięcie w tym kierunku na istniejące rządy. Był to jakiś rodzaj oświeconego socjalizmu. Długie bolesne doświadczenia i rozwój zasad naukowego socjalizmu doprowadziły dopiero do tego, że ugruntował się wreszcie pogląd, że socjalizm może być tylko rezultatem zdecydowanej, zorganizowanej i świadomej walki samej zainteresowanej klasy robotniczej. Wyzwolenie robotników musi być dziełem samych robotników. A potem przyszły jeszcze złudzenia t. zw apolityczności. Nie orjentowano się w mechaniźmie przewrotu społecznego. Oczekiwano wszystkiego od jego automatyzmu i żywiołowości. A tymczasem ograniczano się do propagandy zasad. Pod wpływem realnych doświadczeń i dotkliwych ciosów musiały rychło te złudzenia prysnąć. Wynikiem tego było ugruntowanie się przekonania, że walka robotników musi przybrać charakter walki politycznej, o władzę.

Złudzenia te jednak nigdy nie znikły zupełnie i odradzały się pod różnymi formami. Przyczyniała się do tego zwłaszcza odległość momentu zdobycia władzy. Przyczyniała się do tego także realna możliwość urzeczywistnienia pewnych postulatów programu minimalnego przed zdobyciem władzy. W epoce, w której dziś żyjemy piastowanie tego rodzaju złudzeń przybrałoby jednak znów szkodliwy charakter utopizmu. Mamy tu na myśli dwie tendencje niestety nie obce współczesnemu socjalizmowi. Jedna z nich zapatrzona w rezultaty walk o realizację programu minimalnego, myśli o dobie obecnej, o wskrzeszenie czegoś w rodzaju nowego programu minimalnego. To właśnie nazywamy szkodliwym utopizmem. W rozwoju warunków doszliśmy bowiem do momentu, kiedy nie możemy już wymyślić sobie żadnej rozumnej i pożytecznej reformy społecznej, która nie godziłaby w same podstawy dzisiejszego ustroju, która nie stałaby w jaskrawej z tym ustrojem sprzeczności. Dzisiejszy program minimalny (t. zw. planizm) musiałby być nieodzownie pierwszym etapem realizacji socjalizmu. Nie byłby on zatem tak łatwym do przełknięcia przez warstwy

społeczne dziś rządzące, jak dawniejsze programy minimalne. Ten kto przypuszcza choćby na chwilę, że tego rodzaju dążenia można narzucić do urzeczywistnienia rządom klas posiadających, nie odszedł chyba daleko od złudzeń żywionych przez dawnych utopistów, którzy chcieli oddziaływać perswazją na rządy. Pierwszym zatem warunkiem realizacji dzisiejszego programu minimalnego zgodnie z naszymi poprzedniemi uwagami jest zdobycie władzy. Stanowisko to posiada nieodpartą wprost siłę zwłaszcza jeżeli idzie o współczesne państwo faszystowskie.

Drugą taką tendencją noszącą w sobie znamiona utopizmu, a raczej może wskrzeszającą złudzenia dawnego okresu apolitycznego, jest tendencja ograniczająca się do formułowania w dobie obecnej naszego programu społecznego, a zamykająca, pod wpływem panujących trudności politycznych, oczy na sposób w jaki program ten może zostać zrealizowany. W pracach komisji programowej P. P. S. wyłonił się właśnie kierunek, pragnący ograniczyć zadanie komisji do opracowania planu gospodarczego bez rozstrzygnięcia na jakiej drodze zostanie on urzeczywistniony. Jest to omijanie sprawy w tej chwili najważniejsze.

Socjalizm jeżeli chce zwyciężyć musi mieć wszelkie znamiona realizmu. Nie może się on w żadnym razie opierać na przeskoczeniu zagadnień, które w naszej realnej rzeczywistości w żaden sposób przeskoczyć się nie dadzą. Dzisiejszy, współczesny utopizm programów minimalnych lub ekskluzywności gospodarczej jest niczem innem jak tylko wyrazem naszej słabości, jak ucieczką przed zagadnieniami, które są trudne do rozstrzygnięcia, a jeszcze trudniejsze do wykonania. Ta strusia polityka nie ma żadnej przyszłości. Przez to, że uciekliśmy od pewnych zagadnień nie przestały one bynajmniej istnieć. I dlatego musimy stwierdzić, że w tej chwili centralnym punktem naszych dążeń, ośrodkiem każdej naszej akcji, punktem wyjścia naszego programu musi być zagadnienie zdobycia władzy. Świadomość, że nikt inny poza nami nie dokona tego przewrotu ku któremu zdążamy musi powszechnie zapanować. Gdyby się więc ktoś zapytał, co jest w tej chwili najważniejsze, odpowiedzielibyśmy: socjalizm musi być przepojony stanowczą zdecydowaną i konsekwentną wolą zdobycia władzy.

HENRYK ŚWIĄTKOWSKI

Nowy ustrój rolny w Z. S. S. R.

I. Istota prawa rolnego w Z. S. S. R.

Prawo rolne, jako osobna gałąź prawa, odrębna od prawa cywilnego, powstało w Rosji przy końcu 1917 roku. Dał mu początek dekret o ziemi z 26 października 1917 r., znoszący prywatną własność ziemi, która staje się „społeczną własnością państwa robotniczo-chłopskiego". Odtąd ziemia nie może być przez jej posiadaczy ani sprzedawana, ani zastawiania, ani wydzierżawiana.

W państwach kapitalistycznych ziemia uważana jest za jeden z rodzajów majątku nieruchomego. Natomiast w Z. S. S. R. podział majątku na nieruchomy i ruchomy nie istnieje. Zniesiony on został razem ze zniesieniem prawa prywatnej własności ziemi. Podstawą nowego systemu stosunków prawnych na wsi jest nacjonalizacja ziemi. Ziemia staje się własnością państwa i jako taka wyjęta jest z obrotu. Kupno, darowizna, zamiana, testament nie mogą mieć za przedmiot ziemi. Umowy zawarte w celu obejścia powyższej zasady są nieważne i powodują odpowiedzialność karną kontrahentów. „Własność ziemi" dopuszczalna jest jedynie na prawie użytkowania (art. 21 Kod. Cyw. R. S. F. S. R.). Prawo użytkowania zaś jest zależne od Państwa jako właściciela.

II. Kołchozy — zasadniczą formą ustrojową gospodarstwa wiejskiego w Z. S. S. R.

W Z. S. S. R. istnieją na wsi „sowchozy" (folwarki państwowe), gospodarstwa kolektywne i dawnego typu gospodarstwa indywidualne. Trzy są typowe formy gospodarstw kolektywnych: zrzeszenie dla wspólnego obrabiania ziemi, artel gospodarczo-rolna czyli kołchoz i komuna gospodarczo-rolna. Różnią się te trzy formy gospodarstw kolektywnych zasięgiem uspołecznienia przedmiotów gospodarstwa, a więc narzędzi, żywego inwentarza, nasion i t. d. Zrzeszenie dla wspólnego obrabiania ziemi jest najniższą formą uspołecznionej gospodarki rolnej: łączy ono grunty swoich członków, którzy na połączonych polach pracują nietylko inwen-

tarzem wspólnym, ale również i inwentarzem, stanowiącym prywatną własność członków zrzeszenia. Komuna gospodarczo-rolna stanowi najwyższą formę organizacji uspołecznionej gospodarki wiejskiej: wszystkie przedmioty gospodarstwa są uspołecznione, a więc budynki, inwentarz, nasiona, plony. Natomiast artel gospodarczo-rolna, czyli kołchoz, zajmuje miejsce pośrednie między zrzeszeniem dla wspólnego obrabiania ziemi a komuną gospodarczo-rolną. W kołchozie uspołecznione są najważniejsze środki produkcji, głównie odnoszące się do gospodarki zbożowej, a więc maszyny, inwentarz żywy i martwy, budynki gospodarcze i praca. Natomiast nie są w kołchozach uspołecznione działki przy osiedlach (ogródki, sady) budynki mieszkalne, część inwentarza mlecznego, ptactwo domowe. Według obowiązującego w Z. S. S. R. poglądu urzędowego kołchozy stanowią przystosowaną do obecnego okresu historycznego formę gospodarstwa wiejskiego, w której łączy się w jedną harmonijną całość interes gospodarstwa jako wspólnoty z indywidualnym interesem pracującego w niej chłopa. To też kołchozy jako ‚szkoła socjalistycznego wychowania mas chłopskich" stały się podstawową, niemal powszechną, formą gospodarstwa wiejskiego w Z. S. S. R. Ilościowy rozwój kolektywizacji w postaci kołchozów jest imponujący. W chwili obecnej kolektywizacja wsi sowieckiej obejmuje ¾ wszystkich gospodarstw chłopskich i 90% obszarów siewnych, w szczególności 240 tysięcy kołchozów i 3.500 M. T. S. (maszynowo traktorowych stacji). Na wszystkich tych obszarach pracowało traktorów 845 tysięcy, młocarni 129 tysięcy, różnych innych maszyn siewnych 2.085 tysięcy. W roku 1933 traktory M. T. S. dokonały orki na 35 milj. ha, w roku 1934 — na 55 milj. ha. Kołchozy skupiają 85 miljonów ludności wiejskiej, gdy indywidualne gospodarstwa rolne tylko 25 miljonów tejże ludności.

III. Zjazd „szturmowców — spółdzielców rolnych".

W czasie od 11 do 17 lutego 1935 r. w Moskwie odbył się drugi skolei zjazd „szturmowców — spółdzielców rolnych". Jedynym punktem porządku dziennego tego zjazdu było przepracowanie dotychczas obowiązującego statutu wzorowego kołchozów z roku 1930 i przystosowanie tego statutu do

nowych wymagań i konieczności, wyrosłych na tle bogatego praktycznego doświadczenia, jakie kołchozy zdobyły w ciągu kilku lat swego istnienia. Na zjazd przybyło 1.500 delegatów, reprezentujących najlepiej prowadzone kołchozy. Obrady zjazdu odbywały się pod osobistem kierownictwem Stalina. Wśród delegatów ogromną większość stanowili kierownicy kołchozów, a więc przewodniczący, kierownicy t. zw. brygad, zarządzający fermami, „traktorzyści"i t. d. To też entuzjastyczne przemówienia delegatów raczej odzwierciadlały nastroje kierowniczych sfer kołchozów. niż żądania szerokich mas spółdzielców chłopskich. Temniemniej stwierdzić należy ogólne podniesienie poziomu kulturalnego wsi w Z. S. S. R. „Mnie, towarzysze, jest dobrze. Ja, wieczny wyrobnik, posiadam obecnie wszystko: porządne ubranie, patefon, rower, strzelbę, zegarek, porządną pościel, posiadam krowę, świnię i ptactwo domowe. Mam teraz chęć do życia", mówi zarządzający fermą mleczną. „Szturmowcy" rzeczywiście mogą być zupełnie zadowoleni. Wystarczy porównać zarobek szeregowego członka kołchozu z zarobkiem „szturmowca". Wprawdzie średni zarobek szeregowego członka kołchozu wzrasta, ale bardzo powoli (1—2 kilogramów na kołchozu wzrasta, ale b. powoli i jest jeszcze b. daleki od „zamożności". Według danych urzędowych w r. 1933 ponad 15% zdolnych do pracy członków kołchozów wypracowało sobie zaledwie do 50 pracodni rocznie, ponad 50% członków kołchozów wypracowało sobie poniżej 100 pracodni, a tylko 8—10% — ponad 300 pracodni. Na zjeździe niektórzy „szturmowcy" stwierdzili, że wyrabiają sobie 600 do 800, a nawet 1.000 pracodni, co w przeliczeniu na zboże oznacza 1.000, a nawet 1.500 pudów zboża. To też zróżniczkowanie w kołchozach jest duże: są tacy którym zaledwie starczy na utrzymanie, są i tacy którzy mają nadmiar. „Wszystkiego sobie nakupiłam, na wszystko mi wystarczy — odpowiada mechanik Bachołdinowa — uszyłam sobie 32(!) ubrania, sama się śmieję z tego, po co mi tyle". (Syberja Zachodnia). Widać jednak dążenie do podniesienia dobrobytu całej masy spółdzielców wiejskich. Delegaci mówią naprz.: „U nas wszystkie domy oświetlone są elektrycznością". „W naszej wsi pobudowano już trzecią szkołę z kursem b. gimnazjum". „U nas dzieci mają już przedszkola i żłobki" i t. d. „Będziemy wal-

czyć o to, aby nietylko 1—2 działacze spółdzielczy byli zamożnymi, ale aby wszyscy członkowie kołchozów byli naprawdę zamożni“. Z dawnej zacofanej, ciemnej wsi rosyjskiej nie pozostało już nawet śladu.

IV. Nowy statut wzorowy kołchozu.

Na drugim zjeździe „szturmowców“ spółdzielców wiejskich uchwalony został nowy statut wzorowy kołchozu. W ciągu trzech miesięcy wszystkie kołchozy mają nowy ten statut wzorowy omówić szczegółowo na ogólnych zebraniach członków i przystosować do niego swoje własne statuty, rejestrując je w rejonowym komitecie wykonawczym sowietów. Statut wzorowy kołchozu 17 lutego 1935 r został zatwierdzony przez C. K. W. Partji i Radę Komisarzy Ludowych Z. S. S. R. i stał się fundamentem prawnym i ideowym działalności kołchozów i ich dalszego rozwoju. Jakie są wytyczne nowego statutu wzorowego? (Szczegółów, zresztą b. ciekawych, nie podajemy z braku miejsca). Przedewszystkiem statut uznaje za jedyną prawidłową drogę dla pracujących chłopów — dążenie do socjalizmu przez kołchozy (art. I). Z inicjatywy Stalina przyjęto przytem zasadę, że każdy kołchoz musi stać się „bolszewickim, a wszyscy jego członkowie zamożnymi“. Na żądanie delegatów wzmocnione zostały podstawy działania kołchozów przez: a) uznanie zasady, że dotychczas użytkowane przez kołchozy grunty w obecnych granicach przechodzą na rzecz tychże kołchozów w „wieczyste użytkowanie“ (reminiscencja dawnego prywatnego prawa własności); b) potwierdzenie tego prawa „wieczystego użytkowania“ specjalnym uroczystym aktem, który każdy kołchoz otrzyma od rejonowego komitetu wykonawczego sowietów (art. 2). Uspołecznieniu w kołchozie podlega cały roboczy inwentarz żywy, inwentarz martwy (pługi, siewniki i t. d.), zapasy nasion, pasza w ilości niezbędnej do utrzymania uspołecznionego inwentarza, budynki gospodarcze, wreszcie zakłady, mające na celu przetwarzanie produktów gospodarstwa wiejskiego (art. 4). Nie podlegają uspołecznieniu i pozostają w indywidualnem użytkowaniu poszczególnych rodzin spółdzielców: budynki mieszkalne, część bydła, ptactwo domowe, budynki gospodarcze niezbędne do utrzymania inwentarza żywego, znajdującego się w indywi-

dualnem użytkowaniu poszczególnych rodzin. Statut określa minimalne i maksymalne normy indywidualnego użytkowania w zależności od rodzaju gospodarstwa w kołchozie, przyczem normy te są wyższe w rejonach o przeważającej hodowli zwierzęcej, dochodząc na rodzinę do 4—5 krów z przypłodkiem, od 30 do 40 owiec i kóz razem, od 2 do 3 świń z przypłodkiem, nieograniczonej ilości ptactwa domowego i królików, do 20 uli, po 1 koniu, albo dwa wielbłądy, albo 2 osły, albo 2 muły (w rejonach koczowniczych norma ta jest jeszcze wyższa). Członkiem kołchozu może zostać każdy pracujący, kobieta lub mężczyzna, w wieku ponad lat 16. Nie mogą być przyjęci do kołchozu „kułacy" i osoby pozbawione praw wyborczych (art. 7). Wykluczenie członka z arteli może nastąpić tylko uchwałą ogólnego zebrania przy obecności conajmniej $2/3$ ogólnej liczby członków kołchozu (art. 8). Wszystkie roboty w gospodarstwie wykonywane są osobistym wysiłkiem członków kołchozu; przyjmowanie do pracy robotników jest dopuszczalne tylko wyjątkowo, np. przy robotach budowlanych (art. 13). Ogólne zebranie członków jest wyższym organem kierownictwa kołchozu: wybiera przewodniczącego i zarząd oraz komisję rewizyjną, przyjmuje i wyklucza członków, zatwierdza roczny plan produkcji i t. d. Uchwały zarządu, wkraczające w kompetencje ogólnego zebrania, są z samego prawa nieważne. Praca w kołchozach odbywa się brygadami (drużynami), które mają przydzielone ściśle określone pola do pracy pod kierownictwem przełożonego brygady (art. 14). Zarząd kołchozu opracowuje, a ogólne zebranie zatwierdza dla wszystkich robót normy wypracowania i oceny każdej roboty w pracowniach. Naprz. zoranie 1 ha, zasianie 1 ha, wykopanie centnara buraków i t. d. oblicza się w pracowniach w zależności od wymaganych kwalifikacji pracownika, trudności roboty oraz wartości pracy dla kołchozu (art. 16). Każdy członek kołchozu otrzymuje wynagrodzenie według wyników swej pracy (według ilości uzyskanych pracodni); brygady, które wypracowały więcej niż przeciętną normę pracy otrzymują specjalne naddatki w pracodniach (nagroda).

W ten sposób w Z. S. S. R. tworzy się nowe lepsze życie na wsi. Śledźmy i oceniajmy objektywnie ten wielki wysiłek. Wzbogacajmy naszą wiedzę i doświadczenie socjalistyczne.

J. N. MILLER

Bankructwo literatury a jednolity front*)

Na zeszłorocznym zjeździe pisarzy radzieckickich w referacie Karola Radka o „Współczesnej literaturze i zadaniach sztuki proletarjackiej“ zupełnie wyraźnie uwidoczniła się dążność do ustalenia platformy współdziałania z pisarzami, którzy mogą mieć zastrzeżenia przeciwko teorji czy praktyce komunizmu, lecz którzy stoją na gruncie walki z faszyzmem.

Nowe zadanie literatury proletarjackiej — zdaniem Radka — polegałoby na pogłębianiu rozłamu w literaturze burżuazyjnej i organizowaniu wszystkich sił i rezerw kulturalnych, zdolnych do oparcia się faszyzmowi.

Jeżeli teraz hasła tego rodzaju rozbrzmiewają z Rosji Radzieckiej, zagrożonej ekspansją szerzącego się jak zaraza w Europie faszyzmu, — o ileż boleśniej, bo na własnej skórze przeżywamy tę konieczność możliwego rozszerzenia frontu walki z faszyzmem, znajdując się w kleszczach tego systemu.

Przed dwoma laty na łamach „Nowego Pisma“ pozwoliłem sobie rozwijać hasło jednolitego frontu w literaturze. Sądziłem, że na gruncie pracy kulturalnej czy literackiej prędzej dojść może do ustalenia wspólnej platformy niż na terenie ściśle politycznym. Na apel mój odpowiedzieli względnie przychylnie: Karol Irzykowski, Tadeusz Peiper, Marjan Czuchnowski, Juljan Przyboś, Edward Szymański. Ściślejsza lewica społeczna literacka pominęła tę sprawę milczeniem, nie uważając widocznie za stosowne skazić się łącznością z pisarzami o wątpliwej czystości linji społecznej.

Dziś, jak widzimy, to hasło pada jako wytyczna komitetu organizacyjnego Zjazdu Pisarzy Radzieckich, nie wywołując bynajmniej sprzeciwu, ani zastrzeżeń.

Obecnie jednak zmieniły się warunki i u nas, niestety, na gorsze. Gdyby przed dwoma laty doszło do jakiegoś porozumienia między pisarzami lewicowymi, możeby nie doszło do renegatyzmu w ich gronie; może zgorzkniali, roz-

*) Odpowiedź na artykuł, poruszający to samo zagadnienie, zamieszczony w ostatnim N-rze Lewaru ukaze się w czerwcowym zeszycie „Lewego Toru“. — Redakcja.

bici i osamotnieni nie szukaliby oparcia w ośrodkach faszyzacji kultury, jak to się stało z Karolem Irzykowskim. Nie jego wina, że mając dane do odegrania roli poważnej, nie mógł żadnego oparcia znaleźć na lewicy — skłóconej, zażarcie się wzajem zwalczającej, niezdolnej do jakiegokolwiek porozumienia.

Dziwić mu się zbytnio nie można, że machnął ręką na wszystko — nie oparł się tedy pokusie i stał się wkrótce ozdobą „Akademji Literatury"...

Inni, młodsi, nie mając tak ponętnych perspektyw na widoku jak Karol Irzykowski, lecz nie czując również za sobą żadnego oparcia organizacyjnego i więzi psychicznej, stali się ozdobą pism i placówek panującego systemu .

Dziś z cytowanej listy „jednolitofrontowców" nie wiem, czyby ze dwa, trzy nazwiska ocalały.

Nikomu w danej chwili nic nie zarzucam, raczej wszystkich tłumaczę, obciążając siebie za niewczesny pomysł, ogół — za obojętność i brak dobrej woli w pokonaniu grupowych czy koteryjnych patrjotyzmów.

Warunki zewnętrzne jednak w chwili obecnej sprzyjają wznowieniu koncepcji jednolitego frontu chociażby w dziedzinie pracy kulturalnej.

Triumf hitleryzmu w Niemczech, porozumienie między socjalizmem i komunizmem we Francji, żywy oddźwięk, jaki to przymierze znalazło w masach robotniczych starego i nowego świata; bohaterska walka socjalistów austrjackich z rządami Dolfussa, sukcesy jednolitego frontu robotniczego w czasie powstania w Asturji — wszystkie te fakty zmuszają do przemyślenia sprawy tego współdziałania na nowo.

Wstąpienie Związku Radzieckiego do Ligi Narodów ma przecież również swoją wymowę zarówno społeczną jak i polityczną, zmuszając do rewizji taktyki pracy kuturalnej.

Jeżeli bowiem państwo proletarjackie uważa za możliwe współdziałać z pewną grupą państw burżuazyjnych na niekorzyść innych, tem bardziej oczywista staje się ta teza na terenie pracy kulturalnej, która z natury rzeczy musi kojarzyć pierwiastki nowe z tradycyjnemi.

Niezależnie od swojego ściśle politycznego czy partyjnego

przydziału pisarze socjaliści pod grozą faszyzacji całej naszej kultury powinni się zrzeszyć czy porozumieć i stworzyć ośrodek swojego wpływu czy ekspansji.

Jest późno, lecz nie jest za późno.

Całkowite wyjałowienie i rozkład życia kulturalnego w Polsce współczesnej, poniżająca rola literatury (zabitej całkowicie przez przekłady z języków obcych), literatury, która straciła wszelką powagę i uznanie w opinji publicznej — wszystko to świadczy wymownie o buncie „szarego człowieka" przeciwko narzucanej sobie przemocą pożywce kulturalnej.

Z literaturą i sztuką nie da się bowiem zrobić tego samego co z konstytucją czy z wyborami.

W literaturze ba — sam Kaden-Bandrowski stara się skokietować swego czytelnika jakimś pseudo-radykalnym frazesem.

I mimo wszystko nic nie pomaga.

Czytelnik polski w sposób zdecydowany odrzucił cały dorobek teraźniejszej literatury naszej. Urzędowa sława, nagrody i brukowa reklama nie ma nic wspólnego z rzeczywistą oceną czy opinją literacką szerszych kół czytelników. W chwili obecnej wszystkie nasze sławy literackie wzięte łącznie nie mogą rościć pretensji nawet do dziesiątej części wpływu i uznania, jakiem się cieszył np. Stefan Żeromski.

Widzimy tedy, że mimo tytułów, odznaczeń, nagród i orderów zracjonalizowanej reklamy, teatralno - kabaretowej klaki i ministerjalnej polityki—literatura w Polsce w chwili obecnej upadła na poziom... klasycyzmu warszawskiego z epoki Napoleońskiej.

Kto dzisiaj poza grupką specjalistów wyliczy jednym tchem tę jakże wpływową ongiś i dobrze usytuowaną grupkę literatów, która pamięć o sobie nawet w gronie specjalistów zawdzięcza może temu, że tyłem do niej raczył się odwrócić Mickiewicz.

Któż po latach kilkunastu zdoła wyliczyć na czyich piersiach w roku pańskim 1935 spoczęły laury akademickie, wawrzyny i ordery?

Nie, nie jest tak źle jeszcze z naszym zbiorowym krytycyzmem, jakby się zdawać z wielu pozorów mogło. Panująca

literatura nie zadowala, nie zaspokaja jego potrzeb, odrzucił ją więc — i sięgnął do obcej.

Dane statystyczne świadczące o olbrzymiej przewadze literatury przekładowej nad oryginalną dowodzą w sposób niezbity, że literatura nasza jest w stanie całkowitego bankructwa, że nie zaspokaja zupełnie potrzeb kulturalnych swego społeczeństwa, przestała być *żywotną, aktualną i zaraźliwą.* Chodzi więc o to, aby ją *używotnić, zaktualizować i* uczynić *zaraźliwą,* by stała się ona laboratorjum nowego typu człowieka, odpowiadającego epoce walki o uspołecznienie środków wytwarzania i zmiany bankrutującego na całej linji zarówno systemu jak i ustroju.

Tej pracy powinien się podjąć pisarz socjalistyczny i spełnić ją niezależnie od tego czy poczuwa się do łączności z tą czy inną grupką organizacyjną, czy jest zwolennikiem tej czy innej taktyki, czy się „odchyla" na prawo czy na lewo.

Gdyby więc chodziło o określenie tych zadań specjalnych, jakie stoją przed grupą artystów — socjalistów na tle faszyzacji naszej kultury, należałoby uwidocznić wrogie i oporne wobec tej tendencji stanowisko, podkreślić natomiast czynny i świadomy stosunek do toczącej się walki klas, współdziałać z proletarjatem w przygotowaniu i utrwalaniu jego zwycięstwa nad burżuazją — *w sztuce.*

Właściwą formą tego współdziałania nie będzie wyłącznie agitacja rewolucyjna (poezja stosowana)...), jak to się najczęściej i popularnie dzieje, lecz *budownictwo socjalistyczne,* wyrażające się w ugruntowaniu nowego smaku estetycznego, nowych sprawdzianów, opartych na poczuciu wspólnoty klasowej proletarjatu, jego interesów materjalnych i duchowych, poczucia jego zbiorowej odpowiedzialności.

Wspólnem zadaniem pisarzy socjalistycznych z pod wszystkich znaków w chwili obecnej byłaby tedy budowa świadomości klasowej w obrębie życia kulturalnego i artystycznego. Kanon estetyczny w każdej epoce jest jedną z form organizacji pracy. Dążenie więc do uspołecznienia środków wytwarzania, racjonalnej, planowej i kolektywnej gospodarki z natury rzeczy musi dokonać rewolucji w zakresie naszych pojęć estetycznych.

Rzeczą pisarzy socjalistycznych byłoby dostosowywanie

świadomości zbiorowego człowieka do zmieniających się form wytwarzania, narzucenie proletarjackiego punktu widzenia wszystkim dziedzinom życia przez celowe i obrazowe rozwinięcie go w sztuce.

Na gruncie użyźnionym przez gwałt i przemoc panującego faszyzmu mimo wszelkich szykan i trudności nie byłoby trudne wytworzenie atmosfery zarazy moralnej, sugestji zbiorowej, estetycznego terroru, tyranji świadomości klasowej, którąby się stała równie oczywista, niezbędna i ożywcza, jak porcja rytmiczna wdechu i wydechu.

Sięgając do uświęconych w tej dziedzinie pojęć, należałaby stwierdzić, że zadaniem pisarzy socjalistycznych w chwili obecnej u nas byłoby szerzenie i rozwijanie kultury proletarjackiej, jeżeli przez nią pojmować tę sztukę, która w ustroju kapitalistycznym przyczynia się do zorganizowania świadomości zbiorowej w kierunku celów właściwych budownictwu socjalistycznemu.

Wszystko to jednak wymagałoby wysiłku nie jednostek lecz grupy czy zrzeszenia, mogącego wytworzyć jakąś opinję zbiorową, którąby stać się mogła punktem oparcia i nagłej pomocy moralnej dla chwiejnych i zgorzkniałych, odskocznią dla czynnych i wierzących.

Nie należy wątpić, że gdyby się udało pod hasłem jednolitego frontu zorganizować jakiś ośrodek pracy kulturalnej, zahamowałoby to najskuteczniej odpływ sił, dezercję i renegatyzm w osaczonym w chwili obecnej i sparaliżowanym w aktywności obozie.

Dopiero na gruncie tej konsolidacji możnaby pomyśleć o podziale pracy w zakresie urzeczywistnienia pozytywnego programu, wskazanego powyżej i zorganizowania opinji publicznej zgodnie z wytycznemi tego porozumienia.

LEON KRUCZKOWSKI

Panu Krzesławskiemu w odpowiedzi

Z okazji wystawienia „Kordjana i chama“ na scenie pojawił się w „Robotniku“ obszerny artykuł p. Jana Krzesławskiego p. t. *„Kordjan i cham“ a prawda historyczna“*. Jeszcze jedna, jak się okazało, „obrona“ pogwałconej rzekomo przeze mnie „prawdy historycznej“. Prawie każdy z recenzentów mojej sztuki (a przedtem książki) uważał za stosowne wytknąć mi brzydki ten proceder „fałszowania“ i „gwałcenia“. Sytuacja, wyznać trzeba, dosyć osobliwa. Nie jestem zawodowym historykiem, bądźcobądź jednak do „Kordjana i chama“ przeprowadziłem wielomiesięczne, żmudne i dość gruntowne studjum materjałów, odnoszących się zarówno do całokształtu przedmiotu powieści, jak i do poszczególnych jej wątków, epizodów, zdarzeń, ludzi. Wątpię, czy którykolwiek z krytyków i recenzentów mojego utworu zajmował się kiedykolwiek bliżej studjowaniem tych materjałów; wymagać od nich tego właśnie z okazji „Kordjana i chama“ byłoby z mojej strony dziką i śmieszną pretensją. Niech mi jednak darują ci panowie, że — właśnie dlatego! — mam prawo nie traktować zbyt poważnie ich wystąpień w roli przygodnych rzeczników „prawdy historycznej“ (przy całej zresztą lojalności dla ich, dodatnich czy ujemnych, ocen ze stanowiska *prawdy artystycznej).*

Inaczej zgoła potraktować muszę p. Krzesławskiego. W przeciwieństwie do „normalnych“ recenzentów, omawiających — nieraz z obowiązku — bieżącą produkcję powieściową czy teatralną, niezależnie od osobistej *wiedzy o przedmiocie* tego lub owego utworu, p. Krzesławski wystąpił *specjalnie,* snać pod wpływem własnego impulsu wewnętrznego, i to nie z ogólną „recenzją“, lecz — jak sam tytuł jego artykułu wskazuje — z polemiką o najistotniejsze, ściśle historyczne momenty „Kordjana i Chama“. Zdawałoby się, że od takiego przeciwnika miałbym prawo wymagać solidnego przygotowania rzeczowego, gruntownej już „wiedzy o przedmiocie“, opartej nie na popularnych tradycjach literackich, lecz na poważnem studjum materjałów źródłowych,

w takim przynajmniej zakresie, w jakim ja z nich korzystałem.

Zdawałoby się...

Nie wiem, kim jest p. Krzeczkowski i czem się zajmuje. „Poważnym i historycznie wykształconym pisarzem“ nazwał go... Adolf Nowaczyński, ciepłem słowem kwitując, w „Gazecie Warszawskiej“, jego występ w roli obrońcy „prawdy historycznej“. Ta rekomendacja nie wzbudza, jak wiadomo, zaufania. Jest ona zresztą zbyteczna, bo artykuł p. Krzesławskiego mówi sam za siebie.

Przedewszystkiem: p. Krzesławski, zabierając się do nicowania „prawdy historycznej“ w „Kordjanie i chamie“, nie zadał sobie tyle trudu, aby uważnie przeczytać — samą „inkryminowaną“ książkę. W przeciwnym razie nie poświęciłby swego artykułu na usilne dowodzenie, że *„lud warszawski“* poparł wybuch listopadowy, że „ulica“, drobnomieszczańskie żywioły staromiejskie, wzięły w nim aktywny udział. Oczywiście, że tak było, to jest — w istocie — prawda historyczna, ale — „gdzie Rzym, gdzie Krym?“ Gdzież to p. Krzesławski znalazł w „Kordjanie i chamie“ odmienne, inne przedstawienie roli „ludu warszawskiego“? Oczywiście, że nie mógł znaleźć, bo „ludu warszawskiego“ wogóle w powieści *niema!* Bo „lud warszawski“ był elementem bez znaczenia dla istotnego problemu „Kordjana i chama“: *konfliktu chłopsko-szlacheckiego.* Rzecz jasna, że coś, czego w książce niema, nie mogło zostać przedstawione ani zgodnie, ani niezgodnie z prawdą historyczną. Więc pocóż długi wywód p. Krzesławskiego na temat nastrojów rewolucyjnych „ulicy“ warszawskiej i — *w związku z tym wywodem!* — *mentorska admonicja:* „Taką jest prawda historyczna, a nie taka bynajmniej, jaka wyziera tendencyjnie z dzieła Kruczkowskiego“?

Połowę swego artykułu poświęciwszy niepotrzebnemu (w danym wypadku) omawianiu roli „ludu warszawskiego“, w kilku zaledwie zdaniach raczył p. Kresławski *dotknąć* sprawy *stosunku chłopstwa do powstania.* „Poważny i historycznie wykształcony pisarz“ niewiele miał do powiedzenia w tej *zasadniczej dla mojego utworu sprawie.* Zbył ją, jakby mimochodem, paru „ciepłemi“ ogólnikami, oraz jednym wyrazistym *fałszem.* Ano tak, fałszuje sens mej książki p.

Krzesławski, mówiąc: „Na wsi *wieść o wybuchu powstania* nie wywołała tak *wrogich* uczuć dla *idei wolnej ojczyzny, jak to widzimy przedstawione w powieści Kruczkowskiego*".

Po pierwsze: wcale nie zostało „przedstawione w powieści Kruczkowskiego", jakie uczucia wywoła *na wsi* wieść o wybuchu powstania, z tej prostej przyczyny, że „Kordjan i cham" kończy się w momencie, kiedy „wieść o wybuchu" nie przekroczyła jeszcze rogatek Warszawy — w momencie pierwszej godziny wybuchu.

Powtóre: rzecz oczywista, że stanowisko masy chłopskiej wobec powstania reprezentuje w mojej powieści Deczyński; ale fałszem jest twierdzenie p. Krzesławskiego, jakoby to było stanowisko *„wrogie"* dla *„idei wolnej ojczyzny"*. Chyba, że p. Krzesławski identyfikuje „ideę wolnej ojczyzny" — z ciemiężącą chłopów szlachtą? Lecz w takim razie — czy warto z nim dyskutować?

W rzeczywistości nie „wrogie uczucia", ale *obojętność* chłopów wobec obcej ich świadomości sprawy narodowej wyraża Deczyński w mej powieści („Nic mi do waszej rewolucji, panie podchorąży!"). I w takiej postawie właśnie był on przedstawicielem *rzeczywistego* stosunku mas chłopskich do powstania — tylko, że „historycznie wykształcony" p. Krzesławski niewiele o tem może powiedzieć poza paru poczciwemi frazesami.

Niechże p. Krzesławski uważnie przeczyta, w rozdziale XIX-tym mej powieści, to wszystko, co mówi Deczyński agitującemu go podchorążemu Jarmuntowiczowi; jeśli tam znajdzie uczucia, *„wrogie"* dla *„idei wolnej ojczyzny"* — poddaję się całkowicie! Ale zapewniam go, że uczuć tych nie znajdzie.

Znajdzie natomiast, coś innego: ugruntowaną na rzeczywistości pańszczyźnianej świadomości niewoli, sroższej, niż polityczna — niewoli najdosłowniejszej w której jęczał ówczesny chłop pod pańskiem batem; świadomość nieprzejednanego przeciwieństwa interesów chłopskich i szlacheckich; to wszystko, co z przejmującą mocą wypowiedział Kazimierz Deczyński na ostatnich kartach swego pamiętnika; to wszystko, co w kilka lat po upadku powstania znalazło wstrząsający wyraz w manifestach emigranckiego „Ludu Polskiego"; to wszystko, co najgłębiej drążyło psychikę ówczesnych mas

chłopskich i kształtowało najistotniej ich stosunek do t. zw. sprawy narodowej.

Ale te rzeczy trzeba znać, trzeba do nich dotrzeć, trzeba je w nurcie dziejowym odszukać, przeżyć i przemyśleć. P. Krzesławski swoje „prawdy historyczne“ przepisał z najtańszego katechizmu „patrjotycznego“, z jakichś „Wieczorów pod lipą“. Niechże siądzie — jak ja to uczyniłem — na wiele dobrych miesięcy do pracy, niech, odrzuciwszy szczudła legend, śmiało rozgryza tę górę materjałów, przez którą przebić się trzeba, aby mieć jaką taką „wiedzę o przedmiocie“ — niech przedewszystkiem przeczyta i przemyśli, wnikliwie i sumiennie, sam pamiętnik Deczyńskiego („Żywot chłopa polskiego na początku XIX stulecia“): a wtedy, śmiem przypuszczać, w innem świetle „ujrzy prawdę historyczną“ „Kordjana i chama“. Albo przynajmniej — wtedy dopiero będziemy mogli ze sobą na ten temat rzeczowo i z pożytkiem dyskutować.

WANDA WASILEWSKA

OJCZYZNA

Wyjątek z powieści pod tymże tytułem, która w tych dniach ukaże się nakładem „Roju“.

Krzysiak orał pod ziemniaki swój zagon, ciągnący się wąskim pasem wzdłuż stawu. Miało się ku zimie. Senna mgiełka stała nad polami, plątała się w zagajach, osiadała w kotlinach. Blade słońce tkwiło nieruchomo na wypłowiałem niebie. Dokuczała mu kulawa noga. Rwało w niej, jak zawsze na zmianę. — Hetta!

Paweł poganiał. Koń szedł mozolnie, wyciągając kopyta, oblepione wielkiemi grudami ziemi. Nie, nie było to ziemia pod ziemniaki. Tu, bliżej stawu jak zawsze wygniją, ze szczętem. Zachowa się trochę tam, wyżej, wybujałych, zielonych badyli, rozłożystych liści i malusieńkich, jak orzechy, bulw.

Krzysiak splunął gniewnie w bok, na końskim szczawiem zarosły spad, zanurzający się w sennej wodzie stawu.

Zośka szła od czworaków ku wodzie. Niosła w koszu łupiny ziemniaczane. Wolno zeszła wdół, ku pomostowi. Przyklękła na deskach i patrzyła w wodę.

— Karpie jej w głowie — pomyślał ze złością. Chciał krzyknąć na nią i pogrozić zdaleka biczem. Ale wtedy jakby go nagle szarpnęło.

Kiedyż to było, taki sam spłowiały dzień, tu, nad stawem? Wyraźnie przypomniał sobie. Orze, jak dziś. Od czworaków idzie Magda. Ciężko niesie przed sobą wielki brzuch. Z któremże to wtedy chodziła? Z Zośką? Z Pawłem? Ileż to lat? Nie, nie z Zośką. To z tem pierwszem, co pomarło. Ileż to lat? Ani chybi, trzydzieści z okładem.

Zadumał się. Machinalnie szedł za pługiem, nie patrząc, czy równio kraje skiby.

Akurat, jak wtedy. Nie zmieniło się nic. Rozmokły zagon pod ziemniaki. Zgniły, ostry zapach, płynący od stawu. Czworaczne izby, patrzące ślepemi oczyma małych, pozatykanych szmatami okien. Staw, wieczyście snujący z siebie niebieskawą mgiełkę, ponocny opar, wieczorny zaduch, zmieszaną woń gnijących liści i wodnych zielsk.

Przepłynęło między temi dwoma dniami trzydzieści lat, i więcej. Co roku orał tak samo. A przypomniało się właśnie tamto, akuratnie, jakby zapisał, jakby na obrazku w książce zobaczył. Umarła Magda. Narodzili się i porośli Zośka i Paweł. Z niego zrobił się stary dziad.

Ale czy się zmieniło co, tak naprawdę, zmieniło, żeby było inaczej.

Przystanął, bo akurat skończyła się brózda. Trzeba było nawracać, a splątało się coś Pawłowi przy lejcach. Wyciągnął z kieszeni kozik i dłubał coś przy rzemieniach.

Wtedy, trzydzieści lat temu, poganiał mu konia Staszek. Ten, co go potem zabili w Legjonach.

Ale pozatem — co się zmieniło?

Stał na swojem miejscu dwór. I czworaki. I kościół. Jednako. Po trzydziestu latach.

Prawda, było jeszcze jedno — ojczyzna.

Przysiadł Krzysiak na pługu i zapatrzył się w nią, tę ojczyznę.

Rozciągała się wąskim pasem mokrego ziemniaczyska. Tchnęła wilgocią stawu. Wyrastała długim grzbietem czworaków.

Jakaż to ona była, ojczyzna, o której nie wiedział nic trzydzieści lat temu, zdążył się dowiedzieć, ofiarować jej kulawość swojej nogi, dał się za nią tłuc tyle razy, tu, na miejscu, i w mieście, kiedy go zamykali, kiedy mało od stryczka się wywinął — dla tej ojczyzny?

Była ojczyzna niekończącym się czworacznym dniem. Rządcowskiem pokrzykiwaniem. Wilgocią, płynącą z barakowych ścian. Krzywemi nogami, owrzodzonemi szyjami czworacznych dzieci. Łupinami, gotowanemi ludziom w garnku na strawę. Wyrkiem szeleszczącem zgniłą słomą.

Nie odmieniło się nic.

Wsiąknęła w ziemię krew, nie zostało po niej znaku.

Wspomniał się znagła Krzysiakowi tamten, pod gruszą, nieznanego nazwiska, przez kozaków zarąbany.

Wspomnieli się kamraci, jako i Bronek, albo i inni, zastrzeleni, na szubienicy zawiśli, w kryminale zgnojeni za tych dawnych, przedojczyźnianych dni.

Nie pamiętał, nie widział nikt. Zgniły w ziemi kości. A ci, co zostali, dalej szli po dworach służby szukać.

Zato cię ubili pod gruszą, młodzieńki, zato cię w kawałki posiekali, żeby dalej po czworacznej ścianie plenił się zielony grzyb. Żeby dalej rządca po pysku prał, żeby dalej wymierały dzieci na każdym przednówku, w każdą mroźną zimę i deszczową jesień — myślało się Krzysiakowi głupio, żałośnie. Bo tamten przecie słyszeć nie mógł. Ileż to lat, jak w ziemi leży? — Trza orać, tato. Nie skończym na południe.

Podniósł się z pługa i ruszył, mocno ująwszy rączki. Kładło się pomyślenie wzdłuż skib, palące, niedobre, jakby sam sobie w twarz pluł.

Zlały się w jedno dwa dni, choć je grodziło trzydzieści lat. Jednakie były. Nie odmieniła nic krew i owa buńczucznie śpiewana piosneczka, wojenna piosneczka tych, co wierzyli, że za czworaczną izbę życia ważą, że się za chłopską dolę idą ująć, że scementują swoją młodą śmiercią nowe, inne, jak się to powiadało wtedy, sprawiedliwe życie.

Miękko krajał pług wilgotną ziemię. Skiby lśniły, jak wyszlifowane. Paweł świstał ze złością przez zęby. Bo ojciec ladajko prowadził pług, zatopiony w jakieś swoje wspominki. Ostało wszystko, jak było. Twardo stał dwór. Lamentowała panna, że się jej nie wiedzie, ale przecie lamentowała tak i stara dziedziczka. Obie umiały dobrze na fornalach sobie to odbić.

Jednako szły dworskie dni. Dalej stały czworaczne dzieci nad stawem, w zachwycie na tłuste karpie patrząc. Dalej śmigały pośpiesznie przede dworem, usiłując w przelocie coś we wnętrzu zobaczyć. Dalej otwierały gęby ze zdumienia, kiedy zajrzały do sadu, na czerwone, wielgachne jabłka, na złote gruchy, leżące w wacie, uwiązane do palików, wielkie, jak dynie.

Dalej stał kościół, poczerniała na nim tylko blacha, ongiś nowa i lśniąca. Jak zawsze, dziedzickie, pańskie, księdzowe było wszystko. Nie chłopskie. Dziedzicka, pańska, księdzowa była ojczyzna. Nie chłopska, jako powiadali, że ma być. Jak w manifeście pisało, jak w gazetkach stało, jak się zapisywało w sercu. Tyle wagi miała chłopska krew, co ten gnój, w ogrodzie z wiosną wylewany. Rosło na nim, zieleniało, rumieniło się co insze. Bujało, brało z nieko karmę i sok. Ale gnój zawsze był gnojem i za gnój tylko wartał.

Pomyślało się Krzysiakowi, jak się to gadało — jak będzie. Powiadać można byle co. Gęba wydoli.

Ale teraz można było zobaczyć własnemi oczyma.

I Krzysiak patrzył. Patrzył dobrze. I widział — nie zmieniło się nic. Jednaka była chłopska dola.

Drogą od dworu zaczerniło się coś. Szła panna i ksiądz.

Jak to wtedy na koniu jechała, lśniąca, czarna i złota. Siwizna obsiadła jej teraz włosy i wąskie rysy zbiegły się w gniewny, ptasi dziób. I nosiła się czarno, jak kiedyś jej matka. A przecie po dziś dzień nikt o niej nie mówił — dziedziczka, tylko—panna. Tak jej to już zostało, i zostanie chyba do końca dni, aż pod szary kamień, pod rzeźbione anioły na cmentarzu pójdzie.

Ksiądz dreptał przy niej, okrągły, na gębie czerwony, gadał coś, szeroko ręce rozkładał. Trudno mu było nadążyć, bo panna szła śpiesznie, jak zawsze. Jakby ją co goniło. Więc wielką chustką ocierał z czoła pot, i drobnemi kroczkami pośpiesznie ją doganiał.

Schodzili ku stawowi. Jakoś od jednego razu oboje, panna i ksiądz spojrzeli razem ku orzącym. Blisko zresztą było. Tak, że popatrzył Krzysiak pannie jakby prosto w twarz.

Dawnym ruchem, od dziecka nauczonym, drgnęła chłopu ręka — ku czapce. Choć go może wcale nie widziała — umiała ona przecie zdawna przez ludzi patrzeć wskroś, jak przez powietrze, nie widząc.

Ale w tym samym momencie Paweł podciął konia tak nagle, że ruszył z całym impetem. Lemiesz z ziemi wyskoczył. Krzysiak tak pośpiesznie złapał za rączki, że mu czapka spadła z głowy. Wbił nóż mocniej w czarne błoto. Paweł uderzył konia jeszcze raz. Orali zaciekle, pośpiesznie.

A tamci dwoje zeszli ku stawowi. Stali koło pomostu i gadali coś, patrząc w wodę.

— Wiesz ty, Paweł, że to akuratnie trzydzieści roków i trochę, kiedym tu orał jednego dnia, a panna, młoda taka, na koniu tędy jechała?

— No i co? — opryskliwie, nieprzyjaźnie burknął chłopak. Krzysiak nie odpowiedział. Przyciskał twardo rączki pługa, bo tu był suchszy grunt.

Ale już wiedział, co się zmieniło, kiedy popatrzył w zapalone gniewem, pełne nienawiści oczy syna, który dorastał.

CZESŁAW CIEPLIŃSKI

Siew strof

Jesteś uczuciem —
niedostrzegalna, jak atom, —
idealny punkt, w geometrycznym rzucie
kreślona na serc płaszczyźnie,
ciśnięta groźba światom — —

W słowa, jak w elektrony system atomu, rozbita,
kataklizmem bryźniesz,
krwawa, czerwona eksplozjo,
wyładowana w rwący podmuch gniewu —
serc, pogardo, zniszczenie — Poezjo! — —

Runiesz granatami słów w tupoczące po bruku
[kopyta —
salwami strof śpiewających barykad — —

Spadniesz na plac w rozpryskach kruszonych
[bagnetów,
w oklaskach braw
trzaskanych w mury ścian
w ulicy —
i zadzwonisz dźwiękiem szyb, szklanych
[kastanietów, —
wzniesiesz batutę — miasto — gra! —
zaświstasz — precz! — jak ulicznicy,
spadniesz na plac, krwawa, czerwona eksplozjo,
w oklaskach braw
trzaskanych o mur ścian,
Rewolucjo tańcząca — Poezjo! — —

Rzęsistym deszczem strof luniesz z wież radjo-
poematów słów pachnących kwitnącem zbożem
i wyśpiewa cię pług nad polami i radjo,
i zasiejesz, zorzesz, snopy rzędem ułożysz,
i wypiszesz swoje imię bukietami dymów
[fabrycznych,
serc słoneczna eksplozjo —
w dygocącem pulsie maszyn elektrycznych,
poprzez Ren, poza Dunaj, Sekwanę,
twoje wiersze na sercach pisane,
w tryumfalnym pochodzie — Poezjo! — — —

NATALJA KUCZYŃSKA

Kulisi niebiescy

Tak jak na ziemi, tępi i cisi
Pracują w niebie chińscy kulisi.
Noszą, zgarbieni, ładunki gromów
I ostre wieńce gwiazd nieruchomych.

Nic im do Piotra, Pawła i Jana
Ni do słodkiego śpiewu „hosanna“,
Dwunastu siedzi u kolan Mistrza
Z wędrówki ziemskiej miłość najbliższa...

Kulisi chińscy w ogrodach raju
Noszą ciężary tak jak w Szang-haju,
Nie znając Tego co zmarł na krzyżu
Pracują w niebie — za garstkę ryżu.

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

POWRÓT*)

Kiedy Ludwika poznała Stanisława miała szesnaście lat. Szła z nim ulicą od miasta, mówiła między innemi, że mieszka w trzecim domu od końca „jej" ulicy, że mieszka za ogrodem, wpobliżu jego domu. Potem Stanisław pisał do niej listy, przesyłał jej swoje pisane z dnia na dzień w zielonych zeszytach pamiętnik, zapełnione okrągłemi, wyraźnemi literami. Po jego śmierci przyniósł je ojciec Ludwiki. Marja nie rozwijając paczki włożyła listy do starego kuferka Stanisława. Kuferek ten stał w mieszkaniu koło pieca napół wsunięty pod łóżko Augusta. Wieczorami August czytał ukradkiem list za listem, każdy zaczynający się podobnie: „Ludwiko" albo: „Wiko", „Dziewczynko moja najdroższa". Miała ta Ludwika jasne włosy, miała twarz podłużną i cienkie ręce. Gdyby Stanisław żył, wzięłaby z nim teraz może Ludwika mieszkanie w tych ich Siedlcach, pokój i kuchnię. W kuchni mieszkałaby przy nich Marja. Tak Marja, matka Stanisława, myślała o niej, kiedy po stracie domu i ostatniej swej wędrówce przyszła do Julji.

Było wcześnie rano, jeszcze ciemno, dom zamknięty, ulica od miasta pusta. Julja nie wychodziła jeszcze z domu. Obudziła się po dziwnym śnie. Śniło jej się małe świeżo urodzone dziecko. Spało obok niej na poduszce, trzymało nad głową zaciśnięte piąstki i kiedy ktoś pukał do drzwi, a mógł to być tylko Feliks, Julja powiedziała do niego z wyrzutem, żeby nie stukał tak głośno: „Obudzisz dziecko". Potem to dziecko płakało w sąsiednim pokoju i Feliks stojąc nad niem mówił tak, jakby pisał w liście do niej: „Wróciłem, twój Felek" i jeszcze raz i jeszcze: „Wróciłem, twój Felek".

Zbudziło ją nowe stukanie do drzwi. „Otwórzcie, — słyszała kobiecy głos za drzwiami. — Otwórzcie Juljo. Mnie tu przysłali do was".

To wreszcie przyszła Marja.

Tak, za kanałem i mostem stał tu ten dom kryty słomą

---

*) Rozdział z niedrukowanej powieści pod tytułem „Dom Julji". Tegoż autora ukazała się nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój" powieść pod tytułem „Kobiety na drodze".

o ścianach niskich i zapadniętych w ziemię, o jednem małem oknie. Kawałek płotu, żerdzie, suszące się na nich ścierki. To było tutaj. Marja nie słysząc odpowiedzi na swoje stukanie usiadła pod progiem. Było jeszcze ciemno, była zmęczona. Zasnęła i obudziła się dopiero w południe. Słońce stało wysoko nad lasem, dołem drogą przepędzano bydło. Krowy dzwoniły dzwonkami, na drodze nawoływali się chłopcy. Jeden stał pod mostem w wodzie, drugi wisząc na poręczy mostu krzyczał piskliwym głosem dziecka: „Franek, n-i-e-e-e-e“! „Już spać, — pomyślała Marja. — Aby tylko zasnąć“. Ciążyły jej ramiona i głowa, bolały przyciśnięte bluzką piersi. Podpierała je dłońmi, poprawiała się, wciskała pod ścianę, podkurczała pod siebie nogi. Myślała o tem, jak to matka chorowała i nie było co jeść w domu. Mieszkała wtedy z rodzicami i braćmi w małem mieszkaniu na poddaszu. Na szafie stojącej pod ścianą schowała wtedy przed matką małą skórkę, starą i czerstwą, ten pamiętany kawałek chleba. Miała wtedy dwanaście lat. „Ta stodoła za miastem, te krzaki za ogrodem, to miasto i ten szynk i ten czerwony dozorca z rudą brodą“ — powtarzała kilka razy.

Zasypiała i budziła się. W pewnej chwili, patrząc na rzekę, pomyślała, że trzeba umyć nogi. Powtórzyła to sobie kilka razy i pomyślała jeszcze, że Józef już powinien niedługo tu przyjść. „Józef“ — powiedziała. Zastukała znowu.

Julja była już przy drzwiach i mówiła do tej natrętnej, niewidzianej kobiety, żeby sobie poszła stąd, że nic tu nie wystoi, że nikt jej tu nie potrzebuje. „Czy już sobie nie pójdzie? Niech idzie z Bogiem“.

Nie, nie odeszła. W kilka dni później miał przyjść też i Józef. „Miałam ich dwóch“ — mówiła Julja.

Mżył deszcz, stały w drzwiach sieni, Julja opierała się o futrynę drzwi, miała głowę wysuniętą z pod daszka. Pokazywała, że tu stały kiedyś ich komórki, tam płot, tam była droga do szosy i most.

Krople ściekały z daszka do dziobatego rowka w glinie.

„Tam jest droga do cmentarza, tam do wsi, — mówiła Julja.—Ani ojciec, ani żaden z braci jednak nie leży na tym cmentarzu“. Potem mówiła o Józefie. Opowiadała o jego urodzeniu i dniach spędzonych z nim na drodze po wyjściu ze

szpitala. Ulica koło szpitala była pusta, dużo czerwonych budynków, do bramy zajeżdżały furmanki, pod bramą stały kobiety. Kiedy doszła do ostatnich domów miasta, był już wieczór. Ciemny, dżdżysty, zimny. Siedziała tam na podmurowaniu jakiegoś domu, chroniła się przed deszczem pod daszkami i balkonem. Był most na rowie, rozmokła jezdnia, śliskie sztachety. Wyszta stamtąd na drogę prowadzącą za miasto i kiedy doszła do wsi, była już noc. Tam go zawiniętego w szpitalne gałgany zostawiła pod pierwszemi drzwiami. Nie obudził się kiedy odchodziła od niego. Opowiadała jeszcze, jak w kilka lat później szukała go tam i nie mogła odnaleźć i jak wreszcie znalazła. Mieszkała tu z nim, odszedł od niej, została sama. Dziwiło ją, że teraz ma wrócić. „Tyle to lat“ — chciałaby powiedzieć.

Józef przyszedł dopiero na trzeci dzień. Po przyjściu wszedł odrazu na stryszek tam, gdzie sypiał kiedyś jako chłopiec. W dniu jego powrotu Marja nadeszła ze wsi dopiero pod wieczór. Julja czekała na nią siedząc w mieszkaniu przy oknie. Było jej zimno, nudno, miała mdłości, zbierało ją na wymioty. Okrywała się chustką i starem paltem, wyciągnęła z łóżka kołdrę, wsadziła ręce pod watówkę. Pod watówką było cieplej. Zasypiała i budziła się, nie wiedziała czy Marja przyjdzie zaraz, czy ma na nią czekać. Wyciągała nad stołem głowę, by widzieć zakręt drogi. Kiedyś tak już patrzyła jako dziecko, czy matka nie wraca z miasta. Podciągała wtedy pod siebie nogi, rozcierała sobie suche łydki i grzała ręce, wsuwając je pod bluzkę.

Wieczorem przyszła Marja i Julja nie wiedziała poco wyszły jeszcze. Pamiętała dotknięcie jej ręki, mycie się Marji rano, kształt spódnic leżących na stołku przy łóżku. „Niech przyjdzie“ — myślała i słyszała, że Marja szuka po ciemku zasówki u drzwi, potem stojąc w drzwiach, śmieje się i mówi do niej: „Chodź“.

Wiatr otworzył drzwi do sieni, zgasił światło i tak jakoś śmiesznie uniósł Julji spódnicę. Przy drzwiach znalazła rękę Marji. „Deszcz“ — powiedziała Marja. Na górze za domem było widniej. Tam się zatrzymały. Julja myślała o rowie i mokrej trawie i krzaku, osłaniającym je od wiatru. Te gęste krzaki były takie jak i dawniej — i Julja myślała, jak też wyglądały tu kiedyś w ciemności jej nogi białe i na-

gie, sterczące do góry pod tem drzewem i pod temi krzakami, w tem miejscu. Był wtedy tak samo deszcz, bała się, by Feliks nie odszedł od niej, był zły, plątały jej się nogi w chustce, którą tak skwapliwie rozpościerała pod sobą.

Teraz wracając krzyczała za Marją, stojącą jeszcze na górze. Już tak od rana zbierało jej się na płacz. Wspominała, plątała się we wspomnieniach. Szła, potykając się o znajome kamienie, stała jeszcze oparta w drzwiach sieni. Potem nie zapalając lampy zaczęła się rozbierać przy łóżku. Trzęsły jej się ręce, nie mogła ustać na nogach. Usiadła i siedząc zdejmowała przez głowę bluzkę, potem koszulę. zabłocone obuwie z nóg. Narzuciła na siebie kołdrę. Leżąc w łóżku zapaliła lampę, siedziała na posłaniu z lampą przy sobie, szukała naokoło lusterka i nie wiedziała, czy nie znajdzie kawałka w kufrze. Znalazła stłuczoną szybę i postawiła ją przy ścianie. W ciemnem szkle zobaczyła swoją twarz i wyciągając się na łóżku chwytała odbite w szybie kawałki ciała, szyi, trzymała w rękach piersi.

Potem razem z Marją przyszedł Józef. „Jest na górze. Tam chciał spać“ — powiedziała o nim Marja. Było ciemno. Jeszcze się żarzył tylko knot u niezgaszonej lampy. Julja znowu była stara, trzęsła się, mówiła że czegoś się boi, niewiadomo czego. Kiedy odchodził od niej nie miał dziesięciu lat. Chciała teraz o nim powiedzieć cokolwiek. „Józef“ — bodaj. Zapamiętała go, widzianego ostatni raz w drzwiach swego domu. Wymknął się jej z pod ręki, był boso, z gołą głową, w koszuli i najgorszych krótkich majtkach. Teraz przyszedł w tych swoich dużych butach, w wypłowiałych żółtych spodniach, zgarbiony w obwisającej na nim marynarce, w miejskim kapeluszu, z laską w ręce. Na twarzy miał dawno niegoloną siwą szczecinę. Powoli wyprobowując każdy szczebel wdrapywał się na górę. Marja siedziała na łóżku Julji. O jakimś czasie poszła do swojego siennika. Obie słyszały szelesty na górze, skrzypienie desek to w jednym to w drugim kącie. To Józef na niezmienianej oddawna i miejscami przegniłej słomie pomieszanej z kurzem rozkładał palto, nakrywał się do snu swoją kurtką, już nakryty ściągał buty. „Spać dzisiaj, — powtarzał, — spać“. Myślał o tem, „że jutro się to zacznie“ — i sam nie wiedział dobrze, co się ma zacząć.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

„Wsi spokojna, wsi wesoła“...

Gdy przed paroma miesiącami Jalu Kurek wydał swą realistyczną — choć mimo wszystko powierzchownie ujętą — powieść o nędzy wsi polskiej („Grypa szaleje w Naprawie“), jeden z czołowych krytyków mieszczańskich zarzucił mu poprostu — „publicystyczną przekorę“, „opozycyjne ględzenie“ i „łatwą demagogję“. Jest że „w niepodległej ojczyźnie“ — pytał ów krytyk — taka wieś, gdzieby ludzie karmili się stale wodzianką, nie znali smaku cukru, zamiast zapałek używali krzesiwa i hubki, a zamiast mydła — zbrudzonych wielokrotnie mydlin?... „Państwowo-twórczy“ krytyk miał niewątpliwie jak najlepsze chęci, ale jego sztuczna naiwność nie zagłuszy krzyku rzeczywistości, tak samo jak nie zmienią jej obrazu sążniste „sprostowania urzędowe“, od czasu do czasu stwierdzające bezapelacyjnie, że dzisiejszy byt wsi polskiej — to bezmała raj na ziemi.

Leży przede mną niewielka broszura p. *Jerzego Michałowskiego p. t. „Wieś nie ma pracy“*. Wydana pod auspicjami Instytutu Spraw Społecznych z zasiłku Funduszu Pracy, broszura („wywiad społeczny w powiecie Rzeszowskim“) ma charakter niemal oficjalny i w żaden sposób nie da się podciągnąć pod wygodny termin „opozyjnego ględzenia“. Jak przystało na wydawnictwo tego rodzaju, praca p. Michałowskiego wolna jest od akcentów politycznych i „łatwej demagogji“, trzyma się drogi faktów objektywnych, a we wnioskach i uogólnieniach odznacza się wielką powściągliwością. Przedmiotem jej są możliwie ścisłe, w dużej mierze na statystykach urzędowych oparte badania, dotyczące gospodarczego i kulturalego stanu pow. Rzeszowskiego w Małopolsce środkowej. Powiat ten ma do 90 proc. drobnych gospodarstw chłopskich, grunta są stosunkowo urodzajne, kultura rolna — wysoka, w latach normalnej konjunktury mieszkańcy nie cierpieli nędzy, pomimo charakterystycznego dla stosunków polskich rozdrobnienia posiadłości włościańskich i wynikających stąd komplikacyj ekonomicznych.

Jaki obrót przybrały sprawy dzisiaj, w szóstym roku kryzysowym, o tem właśnie w sposób beznamiętny i rzeczowy

poucza „wywiad społeczny“ p. Michałowskiego. „Wywiad“ ten nie wymaga komentarzy i omówień: wystarczą—przytoczenia, związane w całość nicią wzajemnej zależności przyczyn i skutków, — wyraźnych, widocznych i nie dających się ominąć. Ze zrozumiałych względów, ograniczyć się tu muszę jedynie do rzeczy najistotniejszych.

Więc przedewszystkiem — *sytuacja finansowa*. Zadłużenie wsi nazywa autor „wywiadu“ — *olbrzymiem*, choć ścisłych cyfr — z braku odpowiednich statystyk nie wymienia. Według danych Instytutu Puławskiego, przeciętne zadłużenie gospodarstw o powierzchni do 5 ha wynosiło w Polsce w r. 1933 ok. 400 zł. Jest to cyfra „olbrzymia“ nie w znaczeniu absolutnem oczywiście, lecz — stosunkowem, w zestawieniu z dochodami chłopa, stanowiącemi dziś wielkość *ujemną*. Co się tyczy pow. Rzeszowskiego, główną rolę odgrywa tu kredyt zorganizowany w instytucjach komunalnych, spółdzielczych i prywatnych, których działalność budzi „poważne zastrzeżenia“. O działalności innych, (to znaczy państwowych) instytucyj kredytowych pisze p. Michałowski również bez entuzjazmu, stwierdzając ich „sztywność, niedostosowaną do potrzeb dzisiejszej wsi“.

Wartość realna podatków (obliczona w cenach produktów rolniczych) *wzrosła* w okresie 1926—1934 mniej więcej *trzykrotnie*. Ponieważ ceny tych artykułów *spadły* równocześnie także *trzykrotnie* (żyto z 31,4 zł. do 13,8 zł. za 100 kg., krowa z 478 zł. do 156 zł. i t. p.), już to tylko zestawienie maluje z dostateczną wyrazistością stopień pauperyzacji ludności wiejskiej i spadku jej siły nabywczej. I w tych nawet warunkach określa p. Michałowski wypłacalność wsi jako „dobrą“ — kończąc rozdział o „Zagadnieniach finansowych“ taką uwagą (str. 42):

> „Chłop tutejszy, który dał już dużo państwu i wiele będzie od tego państwa wymagał, rozumie konieczność płacenia podatków, ma to niejako we krwi i gotów jest ponieść ciężary skarbowe, oczywiście po usunięciu istniejących anomalij i oczywiście w granicach możliwości. *Granice te zresztą wydają się dziś bardzo bliskie — jeżeli już nie są przekroczone*“ (podkreśl. sprawozd.).

Najciekawszy i najwymowniejszy w publikacji p. Michałowskiego rozdział mówi o „Warunkach bytu“ chłopa rze-

szowskiego w roku pańskim 1934. Stwierdziwszy na wstępie, że „*konsumcja* artykułów pierwszej potrzeby, nietylko przemysłowych i monopolowych, lecz nawet rolnych, stoi na wsi *na poziomie niesłychanie niskim*“, p. Michałowski daje następujące informacje szczegółowe (str. 43):

„W miesiącu sierpniu 1934 r., a więc w miesiącu największego dostatku konsumcja ludności chłopskiej wyglądała następująco: *żywność*—ciepły posiłek raz dziennie, — gotuje się barszcz jarzynowy i ziemniaki. Do barszczu dolewają w niektórych gospodarstwach mleko odtłuszczone — dla koloru. Ziemniaki spożywane są bez tłuszczu, czasem z maślanką. *Chleb* konsumowany powszechnie na jesieni, w przeważającej większości małorolnych gospodarstw 1—2 morgowych od Nowego Roku do żniw *jest rzadkością...* Jaja w gospodarstwach przeznaczone są wyłącznie na sprzedaż. Mięsa nie spożywają chłopi wcale“...

Nic więc dziwnego, że odżywianie ok. 90 proc. ludności powiatu musi być uznane za niedostateczne z punktu widzenia podtrzymania wegetacji ustroju, i że „procent *dzieci gruźliczych* w poszczególnych wsiach jest w stosunku wprost proporcjonalnym do ilości przetworzonego (to znaczy niespożytego) nabiału“. Ponieważ przeciętny dochód roczny chłopa małorolnego oblicza p. Michałowski na zł. 494.10 zł. zaś roczne rozchody na żywność rodziny czteroosobowej, liczone najskromniej, stanowią zł. 686.20, — cały chłopski dochód brutto nie wystarcza dziś nawet na najbardziej skąpe wyżywienie.

A co do *odzieży i opału?* Posłuchajmy (str. 49):

„Średniozamożny gospodarz chodzi obdarty, w tej samej zawsze, dokładnie obłatanej parze butów, w jednej, pranej wieczorami, koszuli. Z innych dawno zrobiono sukienki dzieciom. Butów, niestety, przerobić nie można. Ubranie jest jedno, to też dzieci najdotkliwiej odczuwają skutki braku odzieży. W lecie jest łatwiej, ale w zimie, w północnej części powiatu, spotkać można w chałupach *dzieci, które zawiązywane są na cały dzień po szyję do worków z sieczką,* gdyż bez ubrania zamarzłyby w zimnej, nieopalonej izbie. A izba ta jest opalana coraz rzadziej“.

Interesujące są dane, dotyczące ogromnego spadku konsumcji *artykułów monopolowych*. Wynika z tych cyfr m. in., że „alkoholizm na wsi małopolskiej został zlikwidowany“,— czem się, oczywiście martwić nie należy. Gorzej jest natomiast, że

„*zapałka* nietylko utraciła na wsi charakter artykułu pierwszej potrzeby, ale wogóle stała się *osobliwością*, oglądaną zrzadka w ręku przybysza z miasta... Każdy chłop ma dzisiaj zapalniczkę, a przemysł ludowy produkuje nawet zapalniczki drewniane, służące wyłącznie do zapalania papierosów, gdyż nie dają płomienia“ (str. 55).

Czyż może być inaczej, skoro nożyce cen otwierają się coraz tragiczniej, skoro wskaźnik cen artykułów sprzedawanych przez rolników wynosi dziś 37,9, a nabywanych—70,7?... Czy można się dziwić, że przy takiej „sile“ spożycia „conajmniej połowa dzieci jest chora na gruźlicę, wszystkie mają powiększone gruczoły, a krzywica zdarza się niezmiernie często“...

Stan oświatowy powiatu przedstawia p. Michałowski w następujący sposób: Z pośród dzieci podlegających obowiązkowi szkolnemu zapisanych jest do szkół 72 proc. Ale „*w zimie większość dzieci do szkoły nie uczęszcza z powodu braku ubrania i obuwia*“. Na ogólną liczbę 141 szkół w powiecie — 49 proc. stanowią szkoły zaledwie jedno — i dwuklasowe. Siedmio klasowych jest zaledwie 14 (10 proc.!) i te wszystkie znajdują się w miastach. W jednem z gimnazjów rzeszowskich było synów chłopskich w r. 1912 — 149, w roku 1928/29 — 135, w r. 1933/34 — tylko 70. Realizacja zasady: „oświata tylko dla elity“ postępuje szybko i automatycznie.— „*Beznadziejnie* — pisze p. Michałowski — wygląda „*sprawa budowy nowych* lokali szkolnych, których brak odczuwa się niezmiernie silnie“... Istotnie, 105 dzieci w klasie o pojemności 98 m^3 — to jest sytuacja, urągająca logice i higjenie... „Znacznie lepiej — natomiast — przedstawia się sprawa *budowy kościołów*, których wykończono w ostatnich latach siedem. Najtańszy z nich w Bratkowicach kosztował 25.000 zł. (nie licząc robocizny), z czego 12.000 zł. otrzymano przez opodatkowanie się po 5 zł. z morgi, a resztę ze składek. Nieco droższy kościół w Rudnej — pisze p. Michałowski, —

budowany na torfowisku, o lanych trzymetrowych słupach betonowych, nieukończony jeszcze, pochłonął, jak dotąd, *ok. 210.000 zł.*, z czego blisko 40 proc. przypada na miejscowy dwór, reszta na parafję, składającą się z czterech wiosek. Wręcz fantastyczne wersje krążą o budowie kościoła w Lubeni, na którego budowę użyto *półtora miljona cegieł*". — Te informacje mówią same za siebie.

Narówni z budową nowych kościołów, rozwija się w powiecie Rzeszowskim „działalność" t. zw. *organizacyj młodzieży wiejskiej*, których liczba rośnie jak grzyby po deszczu. Oprócz 70 kół Zw. Strzeleckiego, istnieje na terenie powiatu 80(!) wiejskich organizacyj prorządowych, rozszczepionych na trzy odłamy. Źródłem tych „niejednolitości" — pisze p. Michałowski — „są wyłącznie tarcia personalne".. „*Praca i frekwencja* w tych organizacjach jest *minimalna*, ograniczając się przeważnie do „zasadniczych" konferencyj i dyskusyj przywódców w Rzeszowie"... Daleko lepiej wygląda działalność kół Młodzieży Wiejskiej „Wici", pozostających pod wpływami Stron. Ludowego i prowadzonych przez wychowanków Uniwersytetu Ludowego w Gaci.

Z ostatniego rozdziału publikacji p. Michałowskiego, omawiającego głównie stan rynku pracy i możliwości zatrudnienia mieszkańców powiatu Rzeszowskiego, wypada przytoczyć, że *spośród 188.000 tych mieszkańców dziś już 66.900 nie znajduje zatrudnienia na roli*. Uwzględniając — w najskromniejszych rozmiarach — rodziny tych niezatrudnionych, p. Michałowski podaje cyfrę 92.500 osób, dla których niema pracy i chleba w rodzinnym powiecie. Autor broszury jest zdania, że ten nadkontyngent rąk roboczych „powinien wyjechać". Dokąd? — tego nie wiemy... „Fundusz Pracy nie przyczynił się w większym stopniu do urzeczywistnienia marzeń" o zaspokojeniu głodu pracy, nękającego... *połowę ludności powiatu*. Dotacje Funduszu mogą dać pracę zaledwie dla 300 ludzi, przy dniówce zł. 1.50. Według obliczeń p. Michałowskiego, w najlepszym razie i przy wyzyskaniu wszelkich możliwości inwestycyjnych dałoby się zatrudnić w obrębie powiatu 4.000—5.000 osób. A co ma czynić reszta, t. j. 87.500?...

W konkluzjach swych stwierdza autor „niesłychane rozdrobnienie gruntów włościańskich, upadek gospodarki, jej

ekstensyfikację, zmniejszenie produkcji i dewastację inwentarza“... Trudności finansowe, brak kapitału obrotowego i inwestycyjnego i „rujnująca“ wysokość podatku gruntowego— wszystko to „pogarsza warunki higjeniczne i zdrowotne, pozostawia głęboki ślad w psychice i kulturze chłopa, wywołując zresztą nieobliczalne w skutkach reakcje polityczne“. Zupełnie słusznie uważa p. Michałowski, że to nietylko kryzys gospodarczy jest źródłem tego ponurego stanu rzeczy, że istona jego przyczyna leży głębiej: „wyjaśnia ją statystyka ludnościowa, jej porównanie z możliwościami zatrudnienia na roli i w przemyśle miejscowym“.

Refleksem społecznym tej powszechnej nędzy wiejskiej jest *równanie wdół* i idąca z niem w parze *radykalizacja* ludności:

„Kryzys zmienił gruntownie sytuację „klasową“ wsi, sprowadzając warstwę zamożniejszą z wyżyn dostatku na grunt tej samej nędzy, zacierając różnice pomiędzy kułakiem“ a jego wczorajszym najemnikiem. *Kmieć nie osiąga już ze swego kawałka ziemi żadnych dochodów pieniężnych,* to też zmuszony jest przekształcić całe kapitalistyczne nastawienie gospodarki na całkowicie naturalne, poza tem wskutek intensyfikacji z przed kilku lat jest zadłużony po uszy“...

„Radykalizacja obejmuje też wszystkie odcienie i szczeble społeczne wsi. Nie ma ona, jako sprzeczna z podstawami psychiki chłopskiej, żadnego charakteru doktrynerskiego — nawet wśród tutejszych komunistów. Jest to poprostu wyraz negatywnego ustosunkowania *odsuniętych od jakiegokolwiek wpływu na losy kraju mas chłopskich* — do dalekich, bliżej nieznanych sił, prowadzących w mieście zawikłaną i niezrozumiałą dla nich politykę, która nie zdaje się budzić nadziei na poprawę bytu“ (str. 65).

Na tem z koniecznościwypada mi zamknąć omówienie pracy p. Michałowskiego, która zresztą dyskretnie i jakby pomimowoli kładzie wszystkie potrzebne akcenty w stosunku do szczegółów i całości traktowanego zagadnienia. O jego doniosłości mówi fakt, że powiat Rzeszowski i w porównaniu z powiatami kresowemi albo podgórskiemi słusznie uchodzić może za gospodarczo uprzywilejowany.

W znanej pracy o „Walkach klasowych we Francji" zanalizował Karol Marx m. in. sytuację chłopa francuskiego w połowie minionego stulecia, taki dając obraz jego ekonomicznego i politycznego upośledzenia:

„Widzimy, że wyzysk chłopów nietylko formalnie różni się od wyzysku przemysłowego proletarjatu. Wyzyskiwacz jest jeden i ten sam — kapitał. Poszczególni kapitaliści wyzyskują poszczególnych chłopów zapomocą hipoteki i lichwy, klasa kapitalisteów wyzyskuje klasę chłopską zapomocą podatków państwowych. Fikcyjna własność chłopów — była talizmanem, zapomocą którego kapitał zagarniał ich pod swoją władzę, była pozorem, który mu pozwalał podszczuwać ich przeciw przemysłowemu proletarjatowi. *Tylko upadek kapitału może podnieść chłopów, tylko rząd antykapitalistyczny, proletarjacki może usunąć ich nędzę ekonomiczną i degradację społeczną*". (Wyd. polskie z r. 1906, str. 146).

Chłop polski, daleki od „doktrynerstwa", nieświadom jest jeszcze działania tej chytrej mechaniki społeczno-gospodarczej, bardzo powoli budzi się z odwiecznego uśpienia i tylko domyśla się raczej niż wie, skąd pochodzą nędza i degradacja jego w niepodległej ojczyźnie. Ale czy przez to genjalnie przenikliwa analiza Marxa traci cokolwiek na swej wartości i w zastosowaniu do dzisiejszej wsi polskiej? Chyba nie.

T. ŚWIECKI

Treść ideowa powieści Kruczkowskiego

Wystawienie na scenie teatru „Comoedia" przeróbki scenicznej powieści Leona Kruczkowskiego „Kordjam i Cham" podsyciło nanowo dyskusję nad jej treścią ideową. I chociaż pojawiła się już na półkach księgarskich druga powieść Kruczkowskiego — „Pawie pióra", wciąż jeszcze trwa dyskusja nad pierwszą. Bez przesady można powiedzieć, że żaden z utworów lat ostatnich nie spowodował tak bogatej wymiany zdań, tylu sprzecznych sądów, żaden nie wywołał takiego echa w środowiskach literackich i poza literackich.

Dowodzi to niezbicie, że problemy poruszone przez Kruczkowskiego w „Kordjanie i chamie" wybiegają poza ramy

historyczności, są zaś w istocie swojej problemami aktualnemi, że treść ideowa powieści, mimo fabuły historycznej jest bardzo blisko związana z przeżywaniem przez współczesne pokolenie otaczającej go rzeczywistości. Rewizjonizm historyczny Kruczkowskiego czerpie soki żywotne z najistotniejszych dla współczesności problemów. Kruczkowski atakuje nietyle objektywną prawdę historyczną—„wiemy bowiem dobrze", słusznie mówi Stanisławski, „że historja mimo ustawicznie podkreślanego przez historyków burżuazyjnych objektywizmu jest jedną z najbardziej politycznych nauk" — ile uświęcone konwecje historyczne, stojące na straży określonej ideologji.

Taką konwencją historyczną przekazywaną z pokolenia w pokolenie i dobrze zasłużoną interesom burżuazji jest mit o entuzjastycznym udziale wszystkich klas społecznych, niezależnie od ich położenia gospodarczego, w walce o ideały narodowe, mit stanowiący historyczną podbudowę postulatu solidarności wszystkich klas w imię interesu narodowego. Mit ten, kultywowany umiejętnie przez burżuazyjną literaturę piękną, służyć ma budzenie w duszach obywateli moralnego nakazu podporządkowania interesów klasowych interesom narodowym, nakazu, stanowiącego integralny składnik patrjotyzmu, szerzonego przez burżuazję wszystkich krajów, wśród mas pracujących.

Kto i jakie korzyści czerpie z ideologji opartej na tym micie dla socjalisty jest rzeczą jasną. Staje się też rzeczą coraz jaśniejszą dla szerokich mas po ostatnim zbrojnym akcie patrjotyzmu narodów europejskich (wielka wojna) i gorzkich dla klasy pracującej doświadczeniach w latach powojennych. Zwłaszcza w obliczu gwałtownego w latach ostatnich wzrostu nacjonalizmu, bezpardonowej walki, wydanej przez nacjonalizm socjalizmowi i forsowaniu solidaryzmu narodowego — problem, stanowiący ośrodek treści ideowej powieści Kruczkowskiego nabiera znaczenia.

W związku z tem i historyczny rewizjonizm Kruczkowsikego staje się ważnym czynnikiem w walce z faszystowskim nacjonalizmem. Tem tłumacyć sobie należy entuzjazm z jakim przyjęty został „Kordjan i cham" przez uświadomione klasowo elementy wsi i miast, tem wreszcie krytycyzm, w najlepszym razie powściągliwość w stosunku do

treści ideowej przy jednoczesnem uznaniu dla wartości estetycznych w recenzjach i omówieniach „Kordjana i chama“ przez publicystów burżuazyjnych.

Ten krytycyzm zaostrzył się zwłaszcza wtedy, kiedy przeróbka sceniczna „Kordjana i chama“ wysunęła na plan pierwszy i podkreśliła wartości ideowe utworu. Staliśmy się też świadkami niezwykle jednolitego w tej sprawie frontu prasy burżuazyjnej, zmobilizowanej pod hasłem “świętości nie szargać“, względnie obrony „prawdy historycznej“: Na linji bojowej tego frontu obok Nowaczyńskiego znalazł się Breiter i Irzykowski. W sukurs pośpieszyła nawet tak daleka od zainteresowań społecznych p. Krzywicka, dając w Skamandrze w swej recenzji ze sztuki Kruczkowskiego wzór najbardziej prostackiego podejścia do treści ideowej utworu z punktu widzenia ideologji burżuazyjnej. Recenzentka wprawdzie na początku zapowiada, że treści społecznej sztuki nie ma zamiaru omawiać, z rozczulającym jednak brakiem konsekwencji właśnie tej treści społecznej poświęca najwięcej miejsca, podejmując z zapałem obronę szlachty, skrzywdzonej przez Kruczkowskiego. W imię zasady „świętości nie szargać“ zawstydza autora „Kordjana i chama“ i rozwiązuje cały problem w sposób imponująco prosty (przypominający anegdotę o buldogu i króliku), twierdząc, że nie panowie byli źli, ale chłopi niedołężni.

Sąd taki w ustach p. Krzywickiej nikogo nie zadziwi, jej specjalnością istotnie nie są zagadnienia społeczne, raczej seksualne, natomiast dziwić musi krytyka treści społecznej „Kordjana i chama‘ podjęta przez historyka i socjalistę J. Krzesławskiego. Przedłużenie frontu obrony „prawdy historycznej“ na łamy „Robotnika“ musi być uważane za przykre nieporozumienie, świadczące o niedostatecznem przemyśleniu w obozie socjalistycznym podstawowych dla ruchu robotniczego problemów.

Z przykrością trzeba stwierdzić, że J. Krzesławski w swej obronie „prawdy historycznej“ nie potrafi wyjść poza uświęcone konwencje historyczne, obowiązujące w podręcznikach szkolnych i pracach naukowych urzędowych historyków. Taki też charakter nosi jego obrona patrjotyzmu warstw ludowych i bezinteresowności podchorążych. Stwierdzanie, że w powstaniu brały udział jednostki z ludu i że wśród pod-

chorążych było wielu ludzi ideowych, rzeczy nie ulegające wątpliwości, nie zmienia faktu, że walka o niepodległość w warunkach ustrojowo - gospodarczych okresu powstania listopadowego prowadzona była w interesie szlachty i radykalnej inteligencji, reprezentującej powstającą w Polsce warstwę mieszczaństwa i że demokratyzm rewolucjonistów tego okresu zamykał się conajwyżej w okręgu interesów tej ostatniej warstwy, nie uwzględniał zaś interesów chłopów.

We wszystkich walkach o wolność narodową niewątpliwie nie brakło ludzi ideowych, ofiarnych i bohaterskich, czyż J. Krzesławski łudzi się, że inaczej przedstawiała się sprawa w ostatniej wojnie europejskiej po obu stronach walczących frontów. Nie oni jednak i nie ich rola jest ważna w gospodarczo-społecznej ocenie zjawisk politycznych, przeprowadzanej metodą materjalizmu dziejowego. Ważne natomiast jest kto i w czyim interesie wywołał dany ruch polityczny i w czyim interesie go dyskontował. Może też do innych wniosków doszedłby J. Krzesławski w sprawie karjerowiczostwa Kordjanów, gdyby wnioski swoje oparł nietylko na analizie bohaterów 30-go roku, 63-go i 1905-go, więc walk o niepodległość przegranych, ale i ostatniej, zwycięskiej walki.

Stanowisko zajęte przez J. Krzesławskiego w „Robotniku" odpowiada ujęciu problemu narodowego przez „Przedświt" z marca 1903 r. w dyskusji, która w owym czasie toczyła się między organem P. P. S. a leninowską „Iskrą". Czyżby niczego nie nauczyła nas historja lat ostatnich? Czyżby nie dostateczna była wymowa klęski, jaką ruch robotniczy w Polsce poniósł? Kto wie jakby dziś wyglądała rzeczywistość polska, gdyby w owych czasach w okresie kształtowania się ideologji socjalistycznej w Polsce mocniej i wyraźniej sformułowane zostało stanowisko socjalistów polskich w sprawie co czemu należy podporządkować, czy interes narodowy interesom klasowym czy odwrotnie. Gorzkie doświadczenie lat, które nas dzielą od tego sporu, każą nam dzisiaj uznać raczej słuszność stanowiska Lenina, wyrażonego w słowach: „Właśnie interesom tej walki (klasowej) powinniśmy podporządkowywać postulat samookreślenia narodowego. Ten właśnie warunek odróżnia nasze ujęcie sprawy narodowej od burżuazyjno-demokratycznego jej ujmowania. Burżuazyjny demokrata (a również idący w jego ślady współczesny

oportunizm socjalistyczny) wyobraża sobie, że demokracja usuwa walkę klasową i dlatego wszystkie swoje żądania stawia abstrakcyjnie, ogólnikowo, „bezwarunkowo“ z punktu widzenia „całego ludu“, lub nawet z punktu widzenia wiecznej etycznej zasady absolutu (Lenin — Dzieła wybrane t. II przekład polski str. 302—303).

Lenin, opierając się na licznych przykładach stwierdził, że zasada podporządkowania interesów klasowych interesom narodowym nigdy do niczego nie obowiązywała burżuazję, była zaś dla niej tylko frazesem, służącym do zaciemniania świadomości klasowej mas pracujących. Jest rzeczą, jasną, że obowiązkiem socjalisty jest bezlitosne demaskowanie tych frazesów. Że ten obowiązek leży Kruczkowskiemu na sercu świadczy nie mniej wymownie druga jego powieść „Pawie Pióra“. Nic też dziwnego, że po jej ukazaniu się wzrosło niezadowolenie z treści ideowej twórczości Kruczkowskiego w prasie burżuazyjnej.

Akcja „Pawich piór“ rozwija się już nie w czasach odległej przeszłości, ale niedawnego wczoraj, z którym dzień dzisiejszy związany jest licznemi nićmi. Kruczkowski w ostatniej powieści w syntetycznym obrazie literackim daje odbicie budzenia się do życia wsi jako samodzielnego czynnika politycznego. Akcja rozpoczyna się od momentu, kiedy po uzyskaniu praw chłop ciemny „nie wiedział co robić z temi prawami“ i obejmuje historję kształtowania się ideologji ludowej, ściślej ludowcowej aż do wybuchu wojny. Gruntowna znajomość ruchu chłopskiego w Galicji w latach 1907—1914 pozwoliła Kruczkowskiemu w kształtującej się ideologji ludowcowej dostrzec pęknięcia, przez które uszło życie ruchu chłopskiego, pozwala mu dostrzec załamania ideologiczne, które pozbawiły ruch chłopski siły uderzenia, względnie zwróciły tę siłę przeciwko najżywotniejszym interesom małorolnego chłopstwa, stanowiącego ogromną większość ludności wsi. Wartość ideowa „Pawich piór“ tkwi właśnie w tej wnikliwej analizie niedawnej przeszłości wsi małopolskiej. Siła ideologiczna powieści tkwi właśnie tam, gdzie Breiter *) anonsuje jej słabość. Kruczkowski doskonale zdaje sobie sprawę z skomplikowanego mechanizmu opanowywania klasowego ruchu chłopskiego. Daje też w swojej powieści świetny obraz ujarzmiania tego ruchu przy pomocy breiretowskich imponderabilij jak honor, ojczyzna i religja. Tych im-

poderabilij jako arkana do spętania chłopskich sił i zaprzęgnięcia w służbę interesów burżuazji używa właśnie ksiądz proboszcz Kolasiński, rządca Żakulski i pisarz Płonka, wykarmiony na proboszczowej bibljotece i „na zacnej w imię boże wydawanej w kraju prasie“.

W arkana tych impoderabilij zaplątany, schodzi na manowce ruch ludowy, reprezentowany w powieści przez Augustyna i posła Smotra, wyradzając się w ideologję kułactwa, ideologją służącą doniosłej, zdaniem rządcy Zakulskiego, dla kraju sprawie, stworzenia „niezbyt może licznej narazie, ale zato światłej i obowiązków swych świadomej“ zamożnej warstwy włościańskiej, kosztem naturalnie nie większych posiadłości, „które jako warsztaty postępowej pracy rolniczej zniszczone być nie mogą, przez wzgląd na dobro całości narodowego gospodarstwa, ale przez wydarcie biedocie użytkowanej przez nią własności wspólnej“.

W świetnej rozmowie dziedzica Zbyszewskiego z księdzem proboszczem Krzeczkowski daje niezmiernie wnikliwe wejrzenie we „wtórny wpływ ideologji na życie i zjawiska ekonomiczne“, o którym mówi Breiter w swojej recenzji z „Pawich piór“ (Wiad. Liter. Nr. 15 b. r.). Pod wpływem tych Breiterowskich impoderabilij, nabytych przez posłów ludowych w współpracy z miejską i wiejską burżuazją w ogólno - narodowej reprezentacji parlamentarnej, rośnie ferment, mający przynieść zbawienny skutek. Oto instynkt moralny i poczucie narodowe przezwycięża „w umysłach działaczy i przywódców ruchu ludowego ciasnotę klasowych tylko interesów chłopskich“.

Skutek realny tego fermentu demonstruje przebieg sprawy o pastwisko i rola w niej Augustyna i posła Smotra. Tak to wyświechtany w służbie obszarników frazes poświęcania chłopskich interesów klasowych dla powszechniejszego interesu narodowego przechodzi w spadku na zamożne włościaństwo, służąc mu dla utrwalenia krzywdy małorolnych.

Zwarta i konsekwentna treść ideowa „Pawich Piór“ wbrew twierdzeniu wielu krytyków z Breiterem i Pomirowskim na czele nietylko nie osłabia wartości estetycznej utworu, ale przeciwnie — podnosi. Dość zestawić powieść Kruczkowskiego z rozlazłemi i gubiącemi się w szczegółach znanemi powieściami i reportażami społecznemi, ażeby pod tym względem nie mieć wątpliwości.

HALINA KRAHELSKA

Wśród książek

Janina Miedzińska. — **Sowieckie Państwo Pracy, Warszawa, wyd. Bibljoteki Polskiej.**

Książka inspektorki pracy, Janiny Miedzińskiej, o sowieckiem państwie pracy napewno należy do książek bardzo pożytecznych, jako przyczynek do *rzeczowej i inteligentnej informacji o Sowietach.* Społeczeństwo całego świata wciąż jeszcze *czuje głód tej informacji,* gdyż zbyt długo było skazane na korzystanie z jedynego źródła: ziejącej nienawiścią międzynarodowej histerji zrujnowanych rentjerów, kupców i ziemian, wysadzonych boleśnie przez rewolucję rosyjską z siodła używania życia.

Jednak — my w Polsce od trzech-czterech lat posiadamy już trochę rzeczowej i poważnej informacji o Sowietach, a bodaj że rozpoczęły ją *artykuły Otmara,* który dziś, nie pisując wogóle recenzyj, odezwał się już na książkę Miedzińskiej. Z pamięci zacytuję, że artykuły lub ustępy artykułów Otmara o *aktywach sowieckiego piętnastolecia,* o *sprawach kobiecyeh w Sowietach,* o *Czerwonej Armji,* były tymi *orzeźwiającymi sygnałami,* że się poczniemy już mozolnie wydostawać z niewonnego potoku poprzednich „informacyj". To też dziś już, podług mnie, spóźnioną jest potrzeba „odbronzowywania raju i rehabilitowania piekła", gdy się pisze o olbrzymim eksperymencie sowieckim: raj nie może wogóle istnieć na kuli ziemskiej, piekło zaś — na odcinkach życia — istnieje zapewne wszędzie, a poza Sowietami odcinki te muszą być szersze i częstsze (jeżeli pod piekłem pojmujemy nieszczęście, nędzę i upośledzenie szerszych warstw społeczeństwa, nie zaś — tragiczne chociażby przejścia szczupłych grup).

Przesuwają się przed nami w książce Janiny Miedzińskiej kolumny cyfr i obrazy *olbrzymich zdobyczy społecznych* w tem sowieckiem państwie pracy...

Niepospolite wrażenie ogarnia gościa — inspektora pracy z Polski — gdy patrzy po raz pierwszy na ulice Moskwy. „Widok jednostajnie, szaro i biednie ubranych przechodniów na ulicach uświadamia odrazu przybysza, że przyjechał do państwa robotniczego" (str. 12). Oto jest prawdziwie nowy u nas sposób reagowania: dotychczas jakże często słyszeliśmy, że widok tego tłumu w Moskwie, szarego, biednego, *przygnębia!*

A dalej: *budują, budują bez przerwy,* w dzień i w nocy; nie wystarcza dnia, żeby budować, rozbudowywać fabryki, domy mieszkalne, instytucje oświaty i kultury...

Dalej: teatry, koncerty, wypełnione po brzegi... tym samym szarym, robotniczym tłumem. Miedzińska podkreśla to: „szarym, biednie, ale czysto ubranym, kulturalnym tłumem" (str. 19). A od jednego z artystów polskich, który siadywał w tych teatrach i salach koncertowych z tym tłumem, dowiaduję się, że tłum ten *umie już słuchać* nietylko sztuki teatralnej, ale *poważnej muzyki* tak... jak u nas umie słuchać tylko szczupłe, zamknięte grono miłośników muzyki. Można tedy powtórzyć za Miedzińską: „Wielka to istotnie zdobycz robotnicza"! I dalej — „*Wszyscy się uczą*"*!* (str. 21 — 35). To chyba największa duma i zasługa dzisiejszego reżymu w Sowietach:

Bo wszyscy: młodzi i starzy! Gdy w sprawozdaniu Stalina na XVII kongresie partji czytamy, że *piświennictwo w Z. S. R. R. wzrosło w r. 1933 do 90% w stosunku do 67% w r. 1930* (l. c., str. 61), to rozumiemy, że dla takiego celu warto niedojadać.

I „W Sowietach *niema dziś bezrobocia*", czytamy u Miedzińskiej (str. 44). „Dla człowieka, który w ciągu lat ostatnich słyszy bezustanku o tej strasznej klęsce, zawieszonej nad miljonowemi rzeszami pracowników na całym niemal świecie, brak bezrobocia w Sowietach wydaje się jakimś paradoksem, czemś, w co trudno jest uwierzyć. Nie wchodząc jednak obecnie w analizę przyczyn tego zjawiska, stwierdzam jedynie fakt, że bezrobocie, które, lat jeszcze temu kilka, gnębiło robotnika sowieckiego, obecnie nie istnieje i że fakt ten pociąga za sobą niezmiernie ważne konsekwencje... robotnik może swobodnie szukać pracy, która wydaje mu się lepsza, przerzucać się z fabryki do fabryki, nie on bowiem poszukuje pracy, lecz fabryki poszukują robotnika".

Praca kobiet wzrasta liczebnie z każdym rokiem. Kobieta, zrównana pod każdym względem z mężczyzną, stanowi dziś jedną z ważkich kolumn, na których spoczywa sowiecki gmach. Ba! Taki skok, od upośledzenia kobiet w carskiej Rosji do wyzwolenia, które nie zdawało się wprost możliwe w świecie w tym zakresie! A macierzyństwo? To pytanie nasuwa się mimowoli. Ale na 15-tu zwięzłych stronach opowiada Miedzińska o tem, że „cała poważnie rozbudowana sieć ochrony macierzyństwa w Sowietach stanowi *jedną z poważniejszych zdobyczy robotniczych*". — Czytamy dalej o skróconym do 7 godzin czasie pracy, o sposobach zabezpieczenia robotników przed szkodliwemi wpływami produkcji, o rozbudowanej sieci inspektorów pracy. *4300 rządowych inspektorów pracy, 160 tysięcy społecznych inspektorów*, rozsianych po wszystkich fabrykach, związanych ze swymi urzędowymi kolegami. [Zapewne, na 13 miljonów robotników w przemyśle; my w okresie konjunktury mamy tylko miljon robotników, ale nieraz już pisałem, jak wygląda w tym stosunku liczba stu inspektorów pracy... i... nie chcę dalszych porównań...].

Ale czytamy również na wielu stronach opisy niepospolitego wysiłku robotnika, który osiąga rekordowe normy wydajności, pracuje przy płynnych taśmach, chronometrażu i t. p. I tu niemal w każdym wierszu wyczuwamy opanowywany odruch *oburzenia inspektorki pracy*, Janiny Miedzińskiej, że i tam, w Sowietach, *zużywa się człowiek, niszczeją ludzkie, młode nawet jeszcze, organizmy, — podporządkowuje się człowieka i jego indywidualne potrzeby wymogom produkcji sowieckiej, sowieckiego budownictwa...*

Otmar w swej ocenie tej interesującej książki konstatuje tę nutę „*rozczarowania*" i określa ją jako „*ukłon*"... *zachodnio-europejskiego humanitaryzmu*. Zbyt szanuję swoją koleżankę Miedzińską i zbyt dobrze pamiętam, co sama pisałam o podszewce humanitaryzmu, żebym chciała do niej to pojęcie tu stosować. Humanitaryzm europejski ryczał na cały świat, kiedy w Sowietach działał w Czrezwyczajce Dzierżyński, ale piszczał jak niewinne i słabe pisklątko, kiedy zaistniały fakty: Mateotti, bestjalski pogrom gminy robotniczej w Wiedniu, wypadki Nocy 30 czerwca w Rzeszy. — Nie możemy mieć żadnych złudzeń co do podszewki europejskiego humanitaryzmu!

Natomiast sądzę, że w widzeniu i przedstawieniu rzeczywistości sowie-

ckiej przez Miedzińską zaszło pewne, może nieświadome, skrzywienie perspektywy. To skrzywienie przewija się poprzez całą książkę, a zwłaszcza widoczne jest w rozdziałach, traktujących o kwestjach wysiłku i zdrowia robotnika.

Miedzińska popełnia błąd w swych sądach o Sowietach, jako całości' gdyż bezustannie i uporczywie traktuje je, jako państwo socjalistyczne, jako dokonaną przebudowę ustroju — na ustrój socjalistyczny, społeczeństwo klasowe. *Ależ to jest zasadniczy błąd! Osiągnięcie społeczeństwa istotnie bezklasowego jest dopiero ,tam dążeniem, przebudowa w kierunku socjalistycznym, gdy idzie np. o stosunki wiejskie, rozpoczęła się tam bardzo niedawno*, jeżeli się nie mylę, wzięto się za kolektywizację zaledwie w latach 1928—1929. Z książki „Plan drugiej piatiletki" [Stalin, wyd. Bibljon, Warszawa, str. 47], dowiadujemy się, że *% kolektywizacji* gospodarstw chłopskich w Związku Sowieckim *wynosił w r. 1929 zaledwie 3,9*. Na ostatnim kongresie partyj komunistycznej Związku dzisiejszy kierownik Sowietów Stalin stwierdził, że Sowiety są *„na drodze do stworzenia bezklasowego społeczeństwa socjalistycznego"* (str. 73,1 c.) i inaczej chyba nigdy nie przedstawiał tej sprawy żaden poważniejszy komunista. Zatrzymuję się przy tem tak długo, bo stąd przecie wynikać musi zasadnicze skrzywienie perspektywy, jeżeli się widzi w *dzisiejszej* (krótkiej, jak na historję) *przejściowej fazie budownictwa* nowego ustroju w Sowietach — ustrój socjalistyczny i społeczeństwo już bezklasowe. Podzieliłabym osobiście sporą część [wypowiedzianych i wyglądających pomiędzy wierszami] zastrzeżeń Janiny Miedzińskiej, gdybyśmy żyli o *ćwierć czy pół wieku później* i istotnie mieli tam do czynienia z ustrojem socjalistycznym.

Drugi błąd i powód spaczenia perspektywy upatruję w *usiłowaniach mierzenia zjawisk*, obserwowanych *w Sowietach, za pomocą mierników* przykładanych do zjawisk, istniejących *w pozostałych państwach*, w ustroju kapitalistycznym. Jakkolwiek bowiem niema jeszcze w Sowietach ani społeczeństwa bezklasowego ani ustroju socjalistycznego, jest jednak tego rodzaju swoisty *eksperyment przebudowy ustroju*, jakiego poza Sowietami nie zna świat. Stąd wynika, że przecie mamy tam do czynienia nietylko z odrębnemi i odrębnie się kształtującemi zjawiskami ekonomiczno-społecznemi, ale również odbywają się tam całkiem odrębne, swoiste, nigdzie nie spotykane *przeobrażenia w psychice ludzkiej;* rozwijają się odrębne i nieznane możliwości. Miedzińska przeprowadziła cały szereg konferencyj i utarczek w kwestjach higjeny pracy i w kilku miejscach swej książki podnosi, iż to, co szkodzi robotnicy czy robotnikowi w ustroju kapitalistycznym — szkodzi *tak samo* i w ustroju sowieckim. Ale to jest zupełnie nie słuszne! Ś. p. *dr. Józef Zieliński* wyjaśniał nam, że olbrzymią większość, niemal — wszystkie roboty szkodliwe dla zdrowia *można unieszkodliwić*, jeśli wprowadzić potrzebne zabezpieczenia i jeżeli robotnik sam chce się wystrzegać; *to ostatnie zaś zależy w ogromnym stopniu od jego samopoczucia.* A przecież w książce Miedzińskiej nie brak przyczynków, żeby to właśnie rozumieć. Przytoczę jeden z takich wyjątków:

„Oglądam pracę przy budowie metro. Pracuje tu przeważnie konsomolska młodzież — chłopcy i dziewczęta. Praca wre w niezwykłem tempie w dzień i w nocy. Dziewczęta kopią ziemię, wożą ją taczkami, pracują przy ma-

szynach. Część zatrudniona jest pod ziemią. Mimo ciężkiej pracy i widocznego wysiłku, są wesołe i uśmiechnięte... Zdają się nie rozumieć moich pytań o zmęczeniu, o pracy w nocy, pod ziemią. — Pracować nie ciężko— my konsomolcy — pada dumna odpowiedź. Szczery i głęboki jest zapał tej młodzieży". (str. 15).

Djalektyka materjalistyczna, jako system myślenia, bynajmniej nie powinna zasłaniać tej oczywistości, że *na stan zdrowia człowieka w olbrzymim stopniu wpływa jego samopoczucie psychiczne*. Każdy z nas zresztą wie to najlepiej po sobie...

Czy możemy wraz z Otmarem nie rozumieć, iż całkiem różne jest samopoczucie robotnika, wyżyłowującego się dla przysporzenia większych zysków właścicielowi fabryki od robotnika, który zdziera i pognębia swe zdrowie poto, żeby przysporzyć dzieciom robotniczym żłobków, szkół, teatrów, wygodnych mieszkań? A przecie właśnie tak należy stawiać kwestje. Bo tam w Sowietach, wprawdzie powoli, krok za krokiem, śród bardzo *mozolnego wysiłku, osiąga się poprawę bytu szerokich warstw*. To potwierdza z całą stanowczością Miedzińska. Nietylko młodzież, a i ludzie dojrzali — *przeciętny obywatel — uczestniczy już w tym wysiłku coraz z większem zrozumieniem*, częściowo — udarnicy — z bohaterskiem samozaparciem i poświęceniem. *Wyżyłowują się, wymęczają, pracują nad stan:* bardzo wielu, może większość. Ale słusznie podnosi Miedzińska, że nikt postronny nie bogaci się na tej ich pracy:

pracują dla przysporzenia bogactw społeczeństwu, które stanie się bezklasowem i które będzie całe konsumowało owoce tej pracy, powiększając swój dobrobyt, podnosząc kulturę, oświatę.

Wańkowicz w swej bardzo szczerej i bardzo ładnej „Opierzonej rewolucji" powiedział bardzo wyczerpująco:

„To na nich, na miljonach obywateli, żłobią się te wszystkie niedopatrzenia, niedociągnięcia. Ich zdanie jest wypadkową wszystkich plusów i minusów, wypadkową, zrobioną w pilnym i tak drobiazgowym obrachunku codziennym, jakiegoby nie zrobił najsumienniejszy korespondent. *Skoro u nich, u tych którzy płacą za eksperymenty, obrachunek kończy się saldem dodatniem, to cóż ma do powiedzenia obserwator ze strony*? (Str. 114).

To jest tak. Naturalnie zależy, z której strony zegara patrzymy na wskazówkę jak to dowcipnie objaśnia w tej samej „Opierzonej Rewolucji" Wańkowicz. W Kurjerze Polskim z d. 29 kwietnia nie podpisany autor skorzystał z książki Janiny Miedzińskiej, żeby cytując wszystkie krytyczne ustępy o Sowietach — zawyrokować, iż *„wolę kapitalizm"*. Ależ któżby wątpił!

Miedzińska zasługuje, żeby odpowiedzieć poważnie na końcowe pytanie jej książki, zawierające tę *zasadniczą wątpliwość*, która gryzie ją na przestrzeni całej pracy o Sowietach: czy dla ustroju można i trzeba poświęcać człowieka?

Tu, naśladując lakonizm współpracownika Kurjera Polskiego („wolę kapitalizm"), a odpowiem: *można i potrzeba*, w tym dziejowym wypadku. I zwrócę przytem uwagę, iż nie zadawaliśmy tego pytania w stosunku do innych ustrojów, również poświęcających człowieka...